

Tygodnik Polski

23, rue Taitbout, PARIS 9^e

CENA 0,80 F.
PRIX 7 F. B.

14 września 1969
septembre

Rok wydania XII Nr 37 (621)

LA SEMAINE POLONAISE

„MALŻEŃSTWO PANA PASKA”

— to tytuł nowej
rysunkowej opowieści
której druk
rozpoczynamy
w następnym
numerze
Jest to dalszy ciąg
przygód
dzielnego żołnierza
z korpusu
Stefana Czarnieckiego,
które drukowaliśmy
poprzednio
pt. „Kawalerią
na okręty”.
Opowieść oparta jest
na autentycznym
pamiętniku
Pana Paska z XVII w.
i innych dokumentach.
Dotyczy tym razem
„cywilnych” przeżyć
dawnego rycerza.
Ich prawdziwość
była przez dłuższy
czas przedmiotem
sporu badaczy historii.

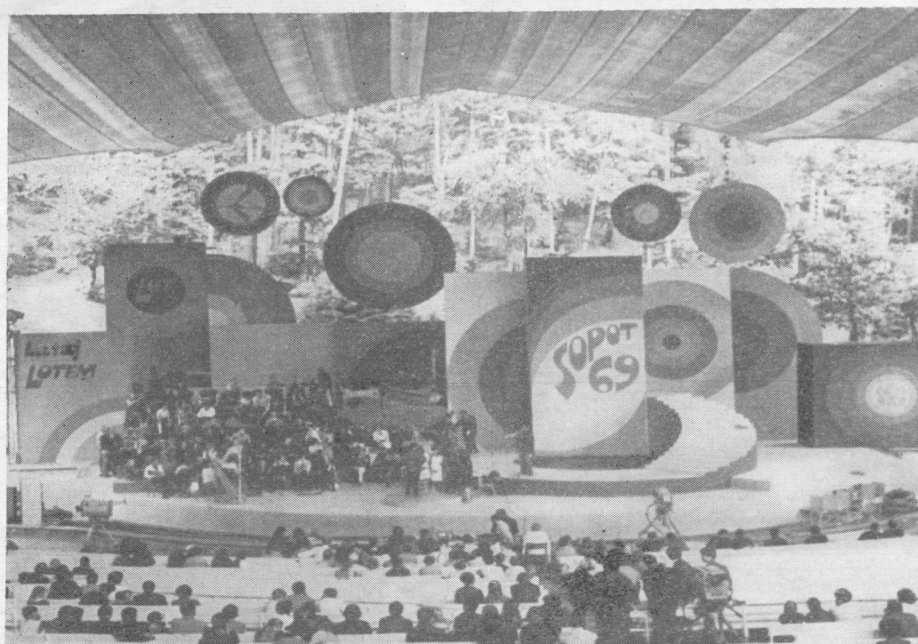
Pani Anna Roher z do-
mu Głowacka po dwu-
dziestu pięciu latach od-
wiedziła Warszawę, mia-
sto swego dzieciństwa.
Historię Anny poznają
Czytelnicy na str. 5.

FP2373





W dniach od 21—24 sierpnia odbywał się w Sopocie IX Międzynarodowy Festiwal Piosenki, który zgromadził uczestników 26 krajów wszystkich kontynentów. Reportaż z przebiegu Festiwalu zamieścimy w najbliższym numerze



W NASTĘPNYM NUMERZE

przeczytacie między innymi:

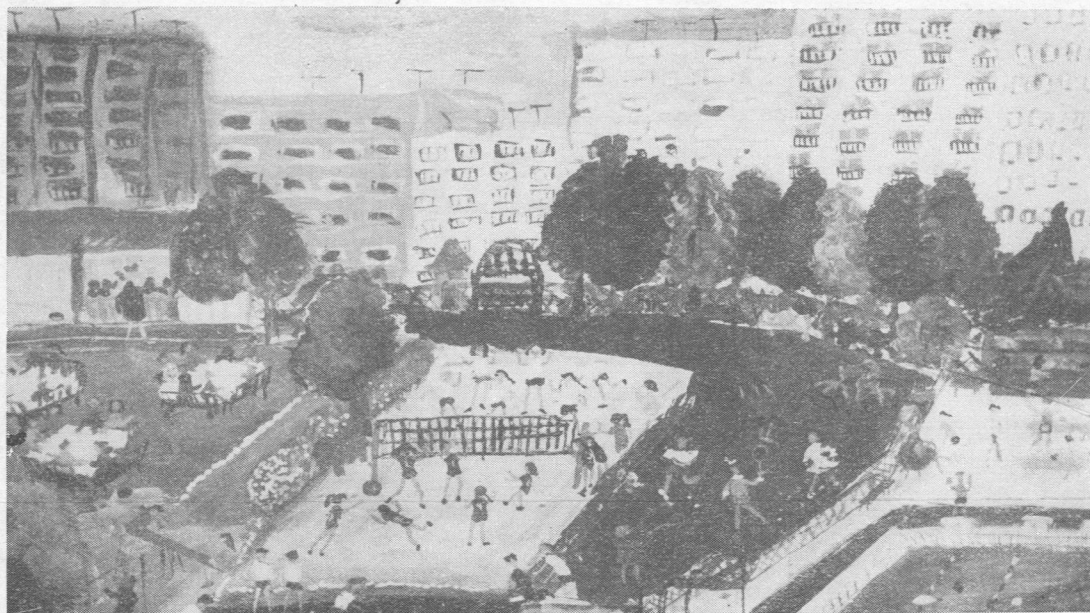
- Festiwal Piosenki w Sopocie.
- Nowa gwiazda polskiego filmu — Małgorzata Braunek.
- Dalszy ciąg wspomnień starego emigranta.
- Jak zwykle: felieton Grzybka, rady od serca, modę, sport i wiele innych reportaży, informacji i ciekawostek.

Ponadto: rozpoczynamy nową powieść rysunkową pt. MAŁŻEŃSTWO PANA PASKA!

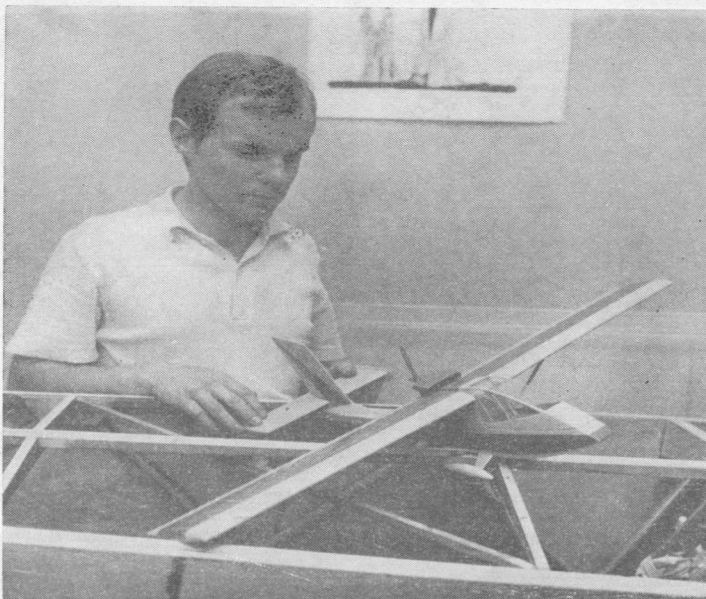


W Mrągowie (woj. olsztyńskie) — dla uczczenia 25-lecia Polski Ludowej niedawno odsłonięto pomnik, na którego cokole wyryto napis: „Myśmy tu nie przyszli, myśmy tu wrócili”

W Żarach trwa ekshumacja ofiar zbrodni hitlerowskich — jeńców obozów wojskowych zamordowanych przez zbrodniarzy. Oto jedna z mogił zbiorowych i tabliczka rozpoznawcza



„Ukochany Kraj, umiłowany Kraj” — to tytuł konkursu na dziecięcą twórczość plastyczną, na który młodzi artyści nadesłali 7 tys. prac. Oto jedna z nich — akwarela 12-letniej Agaty Stomma z W-wy



„Kawalerią na okręty”

Tak oczywiście powinien brzmieć tytuł znanej już naszym Czytelnikom powieści rysunkowej o przygodach Pana Paska, a nie „Kawalerią”, jak to zostało wydrukowane na okładce w części nakładu bieżącego numeru. Czytelników, którzy otrzymają egzemplarz z błędem, redakcja serdecznie przeprasza.

Trzej łodzianie budują w zniekształceniu... samolot według przez siebie opracowanej konstrukcji i dokumentacji. Samolot ma osiągnąć prędkość 160 km/godz. Oto jeden z trzech: J. Janowski z modelem samolotu, w „modelarni”

23 sierpnia odbyły się w Warszawie zawody grupy „B” o Puchar Europy w pływaniu mężczyzn. Polska zajęła 2 miejsce za Hiszpanią. Od lewej: Polak Wojtakajtis z konkurentem A. Gorrel



KOPALNIA W DĄBROWIE GÓRNICZEJ RUSZYŁA

„Tygodnik Polski” relacjonował szczegółowo dramatyczne chwile, jakie przeżyła załoga kopalni „Gen. Zawadzki”, a wraz z nią ludność Śląska i Zagłębia, w lipcu br. Po szczęśliwie zakończonej akcji ratowniczej kierownictwo kopalni przystąpiło natychmiast do prac zmierzających do uruchomienia wydobycia kopalni. Plan uruchomienia kopalni przewidywał jako datę rozpoczęcia eksploatacji dzień 1 września br.

Olbrzymie prace renowacyjne obejmujące odtopienie i oczyszczenie głównych wyrobisk, arterii przewozowych i wodnych, urządzeń szybowych, głównej rozdzielni elektrycznej, pomp głównego odwadniania, przywrócenie łączności telefonicznej i sygnalizacji awaryjno-alarmowej, zostały wykonane w rekordowym tempie.

Przywrócenie do życia — niemal po kataklizmie — w tak krótkim czasie wielkiego i skomplikowanego zakładu, jakim jest ta kopalnia węgla, jest jeszcze jednym sukcesem polskiego górnictwa.

W pierwszych dniach katastrofy, gdy ponad 70 tys. m³ wody i mułu węglowego wdarło się do podziemia najważniejszym zadaniem było najpierw uratowanie odciętych górników, co się szczęśliwie udało — a następnie wypompowanie czarnej zawiesiny. Dniem i nocą pracowano bez przerwy sześć ogromnych pomp, często krtuszących się i zatykających gęstym szlamem, zanim jeszcze obniżył się poziom wody — w głąb podziemnego labiryntu ruszały ekipy ratowników-specjalistów w celu rozpoznania rozmiarów szkód i dokonania wszechstronnej oceny sytuacji.

Gdy już uporano się z wodą, można było uruchomić dwa główne szyby: — osobowy „Cieszkowski” i towarowy — „Zawadzki”, którymi zaczęto następnie transportować na górę szlam. Początkowo robót tych nie można było zmechanizować, nieczynne były bowiem instalacje elektryczne, a przede wszystkim brak było miejsca do zainstalowania jakichkolwiek maszyn. Kilkuset górników pracujących na cztery zmiany — dzień i noc — wybierało płynną maź po prostu łopatami. Co chwila napotymano i odgrzebywano m.in. przewrócone wozy, splątane kable, rury i przewody. Wszystkie nowoczesne zmechanizowane i zautomatyzowane urządzenia, jak sygnalizacja, dyspozytornia kopalni, skip — były nieczynne. Dopiero gdy tym ręcznym sposobem oczyszczono z grubsza rejon podszczybi, a ekipy mechaników i elektryków zainstalowały zastępczą rozdzielnię wysokiego napięcia — można było w szybkim tempie usuwać dalsze skutki katastrofy. Założono trakturę elektryczną, oświetlenie, przywrócono normalny bieg wentylacji, naprawiono i częściowo wymieniono sieć komunikacyjną. Równocześnie ekipy przystąpiły do likwidacji olbrzymiego leja w dnie osadnika „Jadwiga”. Zapelniono go ponad 22 tys. m sześć żużla wielkopiecowego, a ponadto rozpoczęto wybieranie z jego dna blisko 30-cm warstwy węglowego mułu. Roboty te będą prowadzone sukcesywnie, a po ich zakończeniu cały zbiornik wypełniony zostanie kamieniem.

Jako pierwszy z uratowanych górników — rozpoczął pracę J. Haberko. Obecnie pracuje już na swoich dawnych stanowiskach kilkunastu dalszych, a w ciągu najbliższych dni normalną pracę podejmą wszyscy pozostali górnicy, którzy są jeszcze na urlopach rekonwalescencyjnych.

Wygrana została wielka batalia z siłami przyrody, w której oprócz dzielnej załogi uczestniczyło wiele specjalistycznych przedsiębiorstw — uczestniczył cały Kraj.

Przez pewien czas kop. „Gen. Zawadzki” przechodzić będzie jednak jeszcze dalszy okres rekonwalescencji. Trzeba będzie włożyć wiele wysiłków, aby przywrócić jej pełną sprawność. Jak przewidują fachowcy, nastąpi to z początkiem przyszłego roku. Ale już we wrześniu „Zawadzki” osiągnąć powinien swoją poprzednią zdolność wydobyczą — ok. 5 tys. ton węgla na dobę, z tym, że III Oddział, który najbardziej odczuł skutki katastrofy, przywracany będzie do życia jeszcze przez dłuższy czas, przede wszystkim ze względu na bezpieczeństwo pracy załogi.

AKCJA TA MOŻE WYRWAĆ LUDZI Z LETARGU

Zamieszczonym poniżej głosem jeszcze jednego naszego Czytelnika, pana Franciszka Danielczaka — prezesa Bractwa Kurkowego w Dourges (Pas-de-Calais) — kontynuujemy rozpoczętą przed kilku laty akcję pt. „ZBIERAMY PAMIĄTKI EMIGRACJI”. Spośród kilkudziesięciu wypowiedzi krystalizuje się już pogląd, że należy ocalić od zapomnienia, a nawet zniszczenia cenne pamiątki, porzucane po świecie. W odpowiednim czasie dyskusję na ten temat i głosy Czytelników „Tygodnik” podsumuje. Na razie czekamy na dalsze głosy w tej tak ważnej dla Polaków sprawie.



Poświęcenie sztandaru Bractwa Kurkowego w Dourges w r. 1951. W pierwszym i drugim rzędzie — chrzestne i chrzestni sztandaru. Miła to była ceremonia

NASZE BRACTWO KURKOWE zostało założone 9 września 1928 r. W zeszłym roku obchodziliśmy czterdziestolecie. W r. 1932 Bractwo liczyło stu pięćdziesięciu członków. W tej chwili jest nas trzydziestu trzech, ale obecnie członkami naszymi są także Francuzi. Trwamy. Działamy. Każdego roku organizujemy dwa konkursy strzelania. Współpracujemy z Francuzami: jesteśmy jedynym polskim Bractwem Kurkowym, które bierze udział w konkursach organizowanych przez francuską organizację strzelecką. Mamy dobrych strzelców — takiego Georges Zalejskiego na przykład, który w 1967 r. został mistrzem Francji w kategorii juniorów i który już cztery razy z rzędu zdobył pierwsze miejsce w naszym konkursie indywidualnym, albo takiego Alojzego Grosza, który jest kapitanem naszego Bractwa i drugim marszałkiem Związku. Reklamujemy się, staramy się przyciągnąć do nas młodzież, każdego roku w lutym urządzamy bankiet, na którym tańczą się do rana, słowem — staramy się być towarzystwem atrakcyjnym. Wspierają

nas miejscowi kupcy, mer p. Boulen jest nam przychylny (na naszym tegorocznym bankiecie został on zresztą za zasługi, jakie położył dla polskich bractw kurkowych we Francji, udekorowany naszą związkową odznaką). Nie jest najgorzej. Ale dobrze też nie jest, niestety.

Rozmówcą naszym jest prezes Bractwa Kurkowego w Dourges (Pas-de-Calais) p. Franciszek Danielczak. Pan Danielczak wstąpił do Bractwa w r. 1952. Z zawodu jest p. Danielczak górnikiem, dziś już zresztą emerytowanym. W kopalni przepracował 33 lata. W 1962 r. otrzymał „Médaille du Travail”, a ostatnio udekorowany został w Douai „Médaille de Mérite”.

— ...Nie jest dobrze — mówi p. Danielczak — bo nasze towarzystwa przestały ludzi pociągać. W praktyce wygląda to tak: odbywa się, dajmy na to, zebranie. Jeśli jest się członkiem danego towarzystwa, to na zebrania tego towarzystwa wypada chodzić, ale ludzie rozumują tak: Nie pójdę ja, pójdzie sąsiad, nie się nie stanie. Oczywiście, sąsiad myśli zupełnie tak samo:

Nie pójdę ja, pójdzie sąsiad... I tak dalej, i tak w koło. Widzicie, dziesięć lat temu, w r. 1959 „Tygodnik” opublikował o nas, kurkowcach, artykuł. Mam ten numer w domu. Kiedy, bywa, zajrzę do niego, myślę sobie: Tak, wtedy było jeszcze dobrze. Byliśmy młodsi, praca szła składnie, byliśmy pełni entuzjazmu. Dzisiaj natomiast ze smutkiem muszę stwierdzić, że tego entuzjazmu już w ludziach nie ma, że ludzie obojętnieją. My się starzejemy, a nie ma komu zająć się naszymi towarzystwami. Takich ofiarnych, zasłużonych działaczy jak Szczepan Nowak, Piotr Parol, Kazimierz Urbaniak, Jan Bydlewski, Ignacy Napierała, Jan Kubański trudno byłoby dzisiaj ze świecą znaleźć. Nikt nie chce dzisiaj przyjąć żadnego stanowiska w zarządzie, pracują wciąż ci sami ludzie, a o zręczeniu się swych funkcji nie mogą nawet marzyć, bo gdyby odeszli, wszystko by się rozleciało...

...To jest niewątpliwie przykre, ale nie należy załamywać rąk, trzeba starać się coś zrobić, a przede wszystkim trzeba starać się zainteresować naszymi organizacjami młodzież. Skoro już o tym mówimy, to ja miałbym do was prośbę: może moglibyście wspomnieć w „Tygodniku” o tym, że u nas można strzelać już od 14 lat? Może niektórzy z rodziców wyślą do nas za sprawą waszego artykułu swoich synów? Wszyscy prawie młodzi chłopcy ogromnie lubią strzelać na „dukasie” — dlaczego więc nie mieliby strzelać u nas i zostać naszymi członkami?

...Co się tyczy zbierania pamiątek Emigracji, to, rzecz jasna, jestem jak najbardziej za, jest to piękna i pożyteczna akcja i należy ją popierać. Nie tylko dlatego, że chodzi o ocalenie od zapomnienia dzieła naszych ojców, ale także i z tego względu, że — tak mi się wydaje — akcja ta może wyrwać ludzi z letargu, zgalwanizować nasze życie społeczne. To jest pewien cel, do którego warto zmierzać. Trzeba o tych sprawach dużo pisać, jeśli ludzie przeczytają o tym raz, drugi, trzeci, dziesiąty raz, to ja myślę, że może dojść do reaktywizacji naszych kolonii...

REKORDOWY ROK TURYSTYKI POLONIJNEJ

Rok bieżący oceniany jest w Kraju jako rekordowy rok turystyki polonijnej. Niewątpliwie duży wpływ na zwiększenie zainteresowania sprawami Kraju wśród Polonii miały obchody 25-lecia PRL, 25-lecia wybuchu Powstania Warszawskiego, a także 30 rocznica napaści Hitlera na Polskę i rozpętania II wojny światowej.

Do połowy sierpnia br. kilkadziesiąt tysięcy rodaków z zagranicy odwiedziło Polskę. Dość powiedzieć, że samych wycieczek zorganizowanych przez biura podróży było ponad 100, a jeszcze ok. 30 następnych grup turystów

zapowiada swoje przybycie. (W ciągu całego ub. roku Polskę odwiedziło 100 wycieczek polonijnych). Najwięcej rodaków przybyło ze St. Zjednoczonych, Kanady, NRF, a następnie z Francji, Danii, Austrii, Belgii i Holandii. Zwiedzali oni Polskę tradycyjną trasą Warszawa — Częstochowa — Kraków — Oświęcim — Zakopane. Przygotowano też kilka nowych tras wycieczkowych ze zwiedzaniem Wrocławia, Opola, Zielonej Góry, Gdańska, Westerplatte. W różnych imprezach związanych z obchodami 25-lecia PRL brało udział ok. 2 tys. przedstawicieli Polonii, przybyłych z 18 krajów świata.

POLSKA GOSPODARZEM HONOROWYM NA XII MIĘDZYNARODOWYM FESTIWALU W CONFOLENS

CONFOLENS, położone w okolicach Poitiers i Angoulême, jest miastem słynnym z dorocznego wielkiego festiwalu folklorystycznego. Dziesiątki zespołów śpiewaczych i tanecznych z Francji i z zagranicy zjeżdżają na tę wielką paradę sztuki ludowej.

W czasie tegorocznej imprezy w Confolens — XII Międzynarodowego Festiwalu Folklorystycznego — ze względu na obchodzone obecnie 25-lecie Polski Ludowej, zespół krajowy „Kra-kowiacy” mianowany został gospodarzem honorowym festiwalu. Zaszczyc ten przypada co roku w udziale innemu państwu.

Składając w ręce Polski funkcje gospodarskie prosili jednocześnie organizatorzy festiwalu, aby Polskę reprezentowała warszawianka urodzona w czasie okupacji, której rodzice zginęli w czasie Powstania Warszawskiego i która zna język francuski.

Kandydatką, która odpowiadała tym warunkom, znalazł stołeczny tygodnik „Stolica”. Była nią p. Maria Krawczyk, urodzona w Warszawie, której ojciec rozstrzelany został w trzecim dniu Powstania w egzekucji masowej przy ulicy Tarczyńskiej 17.

Do Confolens przybyły w tym roku zespoły reprezentujące 12 państw. Podczas uroczystości otwarcia imprezy p.

Maria Krawczyk zapalała znicz festiwalowy ubrana w strój łowicki, a z wieży miejscowego kościoła St. Maxime odegrany został znany krakowski hejnał. Przez cały czas trwania festiwalu hejnał ten rozbrzmiewał co godzinę nad piękną Charente, tak samo jak w Krakowie, grany przez strażnika z wieży kościoła Mariackiego.

Podczas gdy 43-osobowy zespół „Kra-kowiacy” zbierał w Confolens zasłużoną brawę, bisy i wiwaty, występując z tańcami narodowymi, ze szczególnym uwzględnieniem tańców regionu krakowskiego, rzeszowskiego, Śląska i Tatr, a także i mazurka z czasów Księstwa Warszawskiego, ludność miejscowa dowiadywać się mogła o Polsce również i z innych imprez. Zorganizowano w miejscowym liceum „Capitole” szereg seansów filmowych o martyrologii narodu polskiego, wystawę polskich wyrobów ludowych itp.

Zespół „Kra-kowiacy” dał się poznać miejscowej ludności nie tylko z występów w wielkiej hali targowej, w której odbywał się festiwal, ale i z pochodów przez miasto i koncertów zorganizowanych w pięciu innych miejscowościach. W czasie tygodniowego pobytu we Francji „Kra-kowiacy” odwiedzili również Oradour-sur-Glane, miejscowość, której ludność w bestial-

ski sposób wymordowali hitlerowcy. W 25 rocznicę masakry młodzież Polska złożyła kwiaty na grobach ofiar.

Na uroczystości otwarcia XII Festiwalu w Confolens obecny był prefekt departamentu Charente, podprefekt, rektor Académie de Poitiers profesor Moisy, dowódca okręgu wojskowego z Angoulême, generalowie, reprezentanci urzędów państwowych i ambasada. Ambasadę PRL w Paryżu reprezentował p. Jan Babiński — radca ds. spraw kulturalnych.

NA „CENTRUM ZDROWIA DZIECKA”

Czytelnik nasz, p. MARIAN TWOR-KOWSKI z Argentière (Hautes-Alpes) przekazał na fundusz budowy Pomnika-Szpitala „Centrum Zdrowia Dziecka” w Warszawie 50 F.

Podobnie jak i inni ofiarodawcy, p. M. Tworowski otrzymał list od Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa z podziękowaniem, podpisanym przez p. Janusza Wieczorka, w którym czytamy m. in.:

„...przekazuję serdeczne pozdrowienia za ten piękny dar, który jest symbolem udziału Pana w realizacji tego szlachetnego zamierzenia, jakim jest budowa pomnika upamiętniającego bohaterstwo dzieci polskich w okresie II wojny światowej”.

Ofiarność p. Tworowskiego jest przykładem godnym naśladowania.

POLSKA ORGANIZATOREM SYMPOZJUM PUGWASH

Międzynarodowy ruch uczonych na rzecz pokojowego wykorzystania zdobyczy nauki i techniki obchodzi już swoje 15-lecie. Zainicjował go w 1954 r. swoim słynnym apelem brytyjski filozof Bertrand Russell. Od tego czasu ruch PUGWASH rozwija się systematycznie. W bieżącym roku Polska będzie organizatorem ważnego sympozjum Pugwash, poświęconego omówieniu problemów kontroli zbrojeń i rozbrojenia. Sympozjum odbędzie się w grudniu w Krakowie.

KARDYNAŁ K. WOJTYŁA UDAŁ SIĘ DO KANADY

Jak donosi prasa krajowa, kardynał Karol Wojtyła udał się z trzytygodniową wizytą do Kanady, gdzie został zaproszony przez przewodniczącego konferencji episkopatu — biskupa Alexandra Chartera i arcybiskupa Quebec — kardynała Maurice Roy. W czasie trzytygodniowego pobytu z oceanem kard. Wojtyła odwiedził m. in. parafie polskie. Przejazdem arcybiskup krakowski kard. Karol Wojtyła zatrzymał się na półtora dnia w Rzymie. Radio Watykańskie poinformowało, że kardynał odwiedzi łącznie w Kanadzie 13 miejscowości a również Detroit — miasto amerykańskie leżące niedaleko granicy z Kanadą.

Kardynałowi Wojtyle towarzyszą ks. dr F. Macharski i ks. mgr S. Dziwosz.

W czasie podróży, pierwszej, którą polski kardynał odbywał za ocean, towarzyszył mu również sufragan diecezji gnieźnieńskiej biskup Szczepan Wesoly, który przebywając w Rzymie sprawuje nadzór nad klerem polonijnym w świecie.

Z Kanady kardynał Wojtyła powróci do Rzymu, gdzie będzie uczestniczył w posiedzeniu kościelnej rady do spraw katolików świeckich, a następnie w obradach światowego synodu biskupów mającego rozpocząć się 11 października br.

PAMIĘCI ZASŁUŻONEGO DZIAŁACZA

TAK się jakoś złożyło, że jeżeli chodzi o dzieje polskiego Wychodźstwa, to na ogół więcej wiadomo na ten temat o wieku XIX niż o obecnym, chociaż o ile chodzi o same fakty, to jest ich więcej z bieżącego wieku, przy czym są one bardziej dokładne (np. liczby emigrantów i reemigrantów). Więcej też wiemy o ubiegłowiecznych działaczach emigracyjnych niż o ostatnich, co prawdopodobnie łączy się z polityczną działalnością tych pierwszych. Możemy całymi garściami cytować ich nazwiska począwszy od Mickiewicza, Lelewela, Mochackiego, Worcella, Bema, Kniaziewicz a całych zastępów innych. Wiek XX nie był może uboższy w działaczy emigracyjnych, został jednak — jak dotąd — słabiej przez historyków opracowany. Nie bez znaczenia jest przy tym fakt, że większość wybitnych działaczy wychodźczych ostatnich czasów związana była, względnie jest z Wychodźstwem tylko jednego kraju osiedlenia, podczas gdy dawni działali w szerszym — można by powiedzieć — ogólniemigracyjnym zasięgu.

Z naszego wieku warto przypomnieć księdza Kruszkę czy Haimana z Polonii amerykańskiej lub dwóch ostatnich prezesów Związku Polaków w NRF — Stanisława Szczepaniaka i ks. Józefa Step-Rekowski. Zna ich jednak tylko Polonia amerykańska czy Polonia z NRF. Pewnym wyjątkiem w naszym wieku był chyba tylko Wacław Gąsiorowski, który zapisał się na trwałe w dziejach Polonii francuskiej, działał przy tym na rzecz Zachodnio-Europejskiego Związku Sokółów Polskich, którego był prezesem, a ponadto w okresie międzywojennym przez szereg lat pracował na wychodźstwie amerykańskim redagując w USA kolejno kilka polskich czasopism, a później przez 8 lat prowadził Kolegium (Alliance College) w Cambridge Springs w Pensylwanii, którego kierownictwo powierzył mu Związek Narodowy Polski, gdzie ponadto wykładał polonistykę i historię cywilizacji.

Chcielibyśmy dziś przypomnieć w skrócie postać Wacława Gąsiorowskiego. 27 czerwca bież. roku minęła bowiem setna rocznica jego urodzin, a 30

października minie trzydziesta rocznica jego śmierci. Nazwisko Gąsiorowskiego nie schodzi z łamów prasy polonijnej na obu półkulach, był on bowiem świetnym powieściopisarzem historycznym i jego dzieła wciąż cieszą się niesłabnącym powodzeniem. Szczególnie takie powieści jak: „Pani Walewska”, „Huragan”, czy „Rok 1809”. Są one systematycznie wznawiane w wydawnictwach książkowych, jak i drukowane — na nowo przypominane w odcinkach gazetowych w Kraju i na Wychodźstwie.

Warto też przypomnieć Gąsiorowskiego z okazji Roku Napoleońskiego. Jako pisarz, kiedy zachłystał się tematyką czasów napoleońskich, postanowił odwiedzić miejsca wszystkich pół bitew Napoleona i inne ważne miejsca z jego imieniem związane, by je w swych dziełach możliwie wiernie i plastycznie przedstawić, co mu się prawie w całości udało — mimo pustki w kieszeni, a czego — jak nam wiadomo — nie powtórzył żaden z pisarzy parający się epoką napoleońską. Zwiędził więc Gąsiorowski pod tym kątem Francję, Niemcy, Włochy, Belgię, Rosję, dwukrotnie odwiedził Hiszpanię, był na Korsyce i na Elbie, i praktycznie do kompletu zabrał mu jedynie Egiptu i wyspy śmierci cesarza — św. Heleny.

Stulecie urodzin pisarza przypomniło kilka pism na Wychodźstwie, w Kraju zaś zorganizowali uroczystości kolarze. Okazuje się bowiem, że Gąsiorowski był też przez jakiś czas prezesem Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów i to dziś WTC uważa go za jednego z najbardziej zasłużonych członków w swej historii.

Na emigracji znalazł się Gąsiorowski w 1900 roku. Policja carska w Warszawie wykryła wtedy, że drukowana we Lwowie w jednej z tamtejszych gazet powieść „Ugodowcy” piętnująca stosunki panujące w Kongresówce — to dzieło Wacława Gąsiorowskiego, występującego pod pseudonimem Władysław Sclavus. Pisarz musiał uchodzić wówczas z rodzinnej Warszawy i niebawem znalazł się na emigracji we Francji, gdzie rozwinął szeroką działalność społeczną wśród emigracji zarobkowej a także artystyczno-inteligenckiej. Był on m. in. inicjatorem pierwszych polskich szkółek polonij-

nych w Berlin i jeszcze kilku miejscowościach, gdzie pracowali polscy górnicy (jeszcze przed pierwszą wojną), kierował gniazdami „Sokoła”, doprowadził do zorganizowania wspomnianego wyżej Związku Sokółów Polskich w Zachodniej Europie, założył tygodnik „Polonia” w Paryżu, działał w Towarzystwie Artystyczno-Literackim, a gdy wybuchła pierwsza wojna zaangażował się niemal bez reszty na rzecz Komitetu Wolontariuszów Polskich, Komitetu Pomocy Obywatelskiej Ofiarom Wojny oraz Komitetu Pomocy Rannym. Gdy doszło do powołania Armii Polskiej we Francji (4 VI 1917) Gąsiorowski był jednym z jej pierwszych ochotników i jako delegat armii francuskiej wyjechał do Stanów Zjednoczonych, by tam przeprowadzić werbunek do polskich szeregów wojskowych we Francji, z którego to zadania wywiązał się znakomicie. Wcześniej ułożył Słownik wojskowy polsko-francuski i przetłumaczył 11 tomów francuskich regulaminów wojskowych na język polski, co stanowiło jedną z podstaw szkolenia w szeregach Armii Polskiej we Francji.

Od 1921 r. znalazł się Gąsiorowski ponownie w Ameryce. Redagował tu kolejno „Kurier Nowojorski” w Jersey City, „Górnika” w Wilkes-Barre (Pensylwania) i „Gwiazdę Polarną” w Stevens Point (Wisconsin), po czym objął pracę dyrektora i wykładowcy we wspomnianym Kolegium w Cambridge Springs. Nie ustawał przy tym w działalności pisarskiej i zasilił m. in. emigracyjne teatry amatorskie kilku sztukami scenicznymi.

Wrócił do Polski w 1935. Osiadł w Konstancinie pod Warszawą i poświęcił się napisaniu Historii Armii Polskiej we Francji, którą doprowadził do 1917 r. i zdażył wydać dwa tomy. W Warszawie powołał do życia Stowarzyszenie Pisarzy i Publicystów Emigracyjnych, czuł się bowiem trwale związany z polskim Wychodźstwem. Był też prezesem Weteranów Armii Polskiej we Francji, a ponadto pełnił społecznie funkcję sottysa Konstancina gdzie dokonał żywota wkrótce po napadzie Hitlera na Polskę. Dzieła swego o Armii Polskiej nie dokończył. Ale pamięć o nim i jego dorobku pisarskim i organizacyjnym dla Wychodźstwa została zapisana na trwałe. Warto, by gniazda Sokole w Pas-de-Calais i na Nordzie, z którymi przed pierwszą wojną związany był Gąsiorowski, oraz hallerccy przypomnieli nadchodzącą rocznicę jego śmierci.

Gdy zmieniamy adres...

W okresie wakacyjnym napływają do „Tygodnika” bardzo liczne listy z zawiadomieniem o zmianie adresu naszych Czytelników. Niestety podając nam swój nowy adres bardzo często Czytelnicy zapominają o podaniu starego. Powoduje to poważne trudności dla naszej administracji i konieczność szukania karty abonenta wśród tysięcy innych we wszystkich departamentach.

Dlatego więc prosimy uprzedzenie wszystkich przeprowadzających się, aby komunikując nam zmianę miejsca zamieszkania podawali łaskawie obydwa adresy — stary i nowy. Ułatwi to nam bardzo naszą pracę.

Z góry dziękujemy.

LIST DO REDAKCJI

KOCHAM KRAJ!

Szanowna redakcjo!

Składam piękny ukłon w stronę P. Redaktora Naczelnego i podziękowanie za tak dobre redagowanie naszego „Tygodnika”.

Jak ja pochłaniam każde słowo z tego „Tygodnika”! Znać, że pismo robione jest ze znajomością zagadnień i potrzeb czytelników, a jednocześnie informuje ono z taktem o prawdziwej dotychczasowej naszej Kraju — Polski Ludowej. Kocham mój Kraj i dlatego lubię to jedyne pismo.

Mieszkam stale w Belgii, ale sercem zawsze jestem w Polsce. Myślę, że większość Polaków za granicą tęskni za Ojczyzną tak samo jak ja.

Pozdrawiam całą Redakcję, życząc dużo szczęścia osobistego oraz zadowolenia z pracy.

Józef Janeczko
RANSART (Belgia)

Być może historia pani Anny Rocher de domo Głowackiej nie jest czymś nadzwyczajnym ani odosobnionym. Wiele tysięcy Polaków na skutek ostatniej wojny znalazło drugą ojczyznę z dala od ziemi, na której się urodziło. Zdarzyło się jednak, że byliśmy świadkami, kiedy warszawianka po raz drugi w życiu przeżywała rozkwit miłości do rodzinnego miasta.

DRUGA MIŁOŚĆ PO 25 LATACH

W POGODNĄ czerwcową sobotę na lotnisku w Warszawie wylądował punktualnie, jak zwykle, samolot Air France. Tego dnia wśród pasażerów byli goście przewodniczącego Rady Narodowej m. st. Warszawy — delegacja Rady Miejskiej Paryża. Jej przewodniczącym był wtedy pan Bernard Rocher, któremu towarzyszyła w tej wizycie małżonka Anna. Wiedzieliśmy, że pani Rocher jest Polką, toteż jej osoba budziła nasze szczególne zainteresowanie. Jak wygląda nasza Rodaczka, czy po wielu latach rozłąki ze starą Ojczyzną zachowała do niej sentymenty?

Przystojna, młoda kobieta u boku szefa delegacji wydała nam się trochę niepewna, lecz w oczach jej widać było ciekawość i jednak... wzruszenie. Pierwsze powitanie w języku francuskim i... pani Rocher nie wytrzymała. Sama zaskoczona dźwiękiem własnego głosu wymówiła głośno po polsku pierwsze słowa: „Ja też jestem Polką, warszawianką, tylko przepraszam, ale chyba bardzo źle mówię po polsku.” Oczywiście zebrane wokół niej liczne grono dziennikarzy szczerze temu za-

przeżyło. Pani Anna mówiła najczystszą polszczyzną. Nie zapomniała więc ojczystego języka, choć przez ostatnie 25 lat nie miała zbyt dużo okazji, aby go używać.

Pani Anna Rocher wyjechała z Kraju w 1945 roku. Dzieciństwo spędziła w Warszawie w najtragiczniejszych dla polskiej stolicy latach. Kiedy wybuchła wojna, była małą dziewczynką. Potem Warszawa pełna bólu i rozpaczy. Warszawa w niewoli hitlerowskiej. Nie są to wspomnienia dziecka szczęśliwego. W 1944 roku, kiedy wybuchło Powstanie, matka nie miała czasu zajmować się małą Anną i jej młodszym bratem. Jak wiele innych warszawianek brała czynny udział w Powstaniu. Aż przyszedł dzień, kiedy dostarczając granaty walczącym polskim żołnierzom zginęła pod gruzami walącymi się z popularnego przedwojną drapacza chmur (dziś Hotel Warszawa). Potem osierocona Anna wraz z tysiącami warszawiaków przeszła tragiczną drogę do obozu w Pruszkowie. Następnie wraz z ojcem i bratem w podwarszawskiej wsi doczekała wyzwolenia.

Być może te tragiczne wspomnienia spowodowały, że przez długie lata nie odwiedzała Kraju swego dzieciństwa. Zdarzyła się jednak okazja. Mąż pani Anny wybierał się do Warszawy. Opowiadała, że wiadomość tę przyjęła z miesznymi uczuciami radości i niepokojem. Jaka jest teraz Warszawa? Czy będzie odpowiadała obrazowi, jaki pamiętała z dawnych czasów? Czy pozna ulice, które tyle razy przemierzała jako mała dziewczynka? No, ulicę Czackiego, na której mieszkała, chyba pozna? Bardzo też była pani Anna ciekawa, czy dawna Ojczyzna nie wyda się jej obca. Przecież to tyle lat...

Na lotnisku pani Anna była wzruszona i trochę nęcierpliwa. Chciała jak najszybciej dokonać konfrontacji wspomnień z rzeczywistością, pozbyć się niepewności, którą czuła od momentu, kiedy dowiedziała się, że jedzie do Polski. Pierwsze spotkanie z Warszawą było wielkim zaskoczeniem. Jechała szerokimi pięknymi ulicami, wśród nowoczesnych jasnych domów i uwierzyć nie mogła, że jest to ta sama Warszawa ruin i zgliszcz, którą opuszczała w 1944 roku. Więc jednak spełniła się prawda, że Warszawa żyje, że została odbudowana jeszcze piękniejsza niż za czasów dzieciństwa pani Anny. Chyba wtedy po raz pierwszy od lat poczuła dumę, że tu się urodziła, że to jest i jej miasto.

Kiedy po południu wraz z mężem, panem Bernardem Rocher składała kwiaty pod pomnikiem Nike symbolizującym bohaterską walkę warszawiaków z hitlerowskim okupantem, pani Anna Rocher poczuła ogromną więź, jaka łączyła ją przez te wszystkie lata z miastem jej dzieciństwa. Oddała hołd swej nieżyjącej matce i wszystkim, którzy razem z nią zginęli.

Następne dni pobytu w Warszawie przyniosły pani Annie całą serię niespodzianek. Chodziła po Warszawie, odnajdując wspomnienia z dawnych lat. Zgadzała nazwy ulic, które kiedyś znała i... czasem jej się to udawało. Odwiedziła Łazienki, miejsce dawnych spacerów i zabaw, tylko nie mogła rozpoznać domu, w którym kiedyś mieszkała. Nie mogła, bo już po prostu nie istnieje. Podzielił los prawie



całej lewobrzeżnej Warszawy. Podobały się jej warszawianki, że takie ładne i szykowne, i kawiarnie, bo takie przytulne i kolorowe. Oceniała Warszawę łaskawiej niż to często robią zasiedziali warszawiacy. Bo po prostu zakochała się w Warszawie po raz drugi, i jak wszyscy zakochani patrzyła na obiekt swej miłości przez kolorowe okulary.

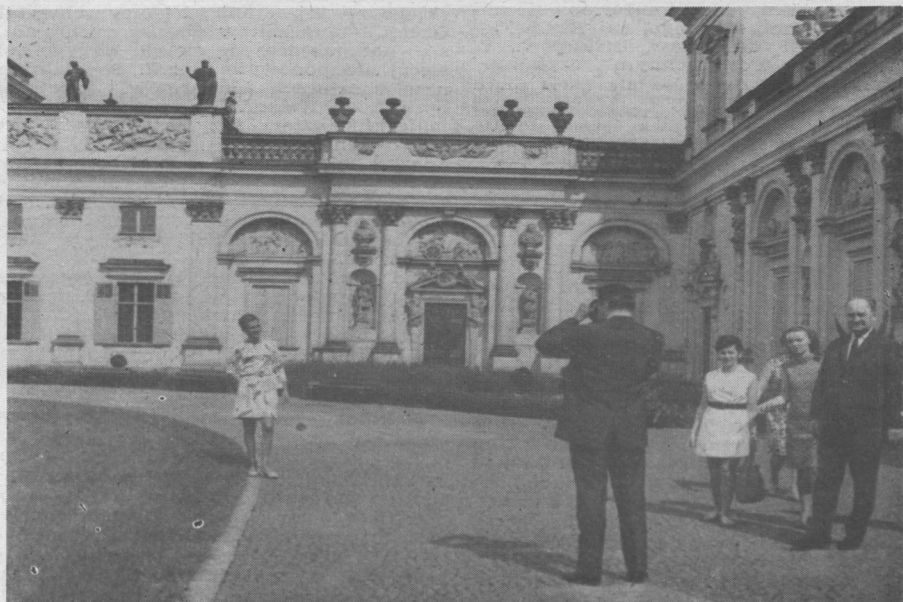
Wspominała pani Anna w pierwszym dniu swego pobytu, że nie ma już w Polsce nikogo bliskiego. A jednak i w tym przypadku los sprawił jej niespodziankę. Trzeciego dnia rano zadzwonił telefon: „Aniu, czy to naprawdę ty? Mówi Krystyna Uniechowska, pamiętasz?” Za pół godziny nastąpiło wzruszające spotkanie dwóch najbliższych kiedyś przyjaciółek. Obie nic o sobie przez te wszystkie lata nie wiedziały. Rozdzieliło je Powstanie. I oto dzięki komunikatom prasowym pani Krystyna Uniechowska, córka znanego artysty malarza Antoniego, skojarzyła sobie Anię, przyjaciółkę z najmłodszych lat, z dorosłą panią Rocher. I jak kiedyś, jakby nie istniało te 25 lat, nie mogły nacieszyć się sobą. Wszystkie te przeżycia sprawiły, że pani Anna postanowiła pozostać jeszcze kilka dni w Warszawie nadprogramowo. Chciała Warszawę poznać na nowo.

Krystyna MAŃKOWSKA



Podczas składania kwiatów w hołdzie bohaterom Warszawy, państwu Rocher asystowali harcerze z warszawskich szkół. Pani Anna rozmawiała z dziećmi oczywiście po polsku. Harcerka — jak widać — jest lekko zażenowana

Pałac w Wilanowie budzi zachwyt wszystkich turystów. Pani Annie przywodził on także wspomnienia z dawnych lat, kiedy przyjeżdżała tu jako mała dziewczynka z rodzicami na niedzielne spacerunki po wilanowskim parku



P 23, rue Taitbout — PARIS IX-ème
Tél. 824-42-02 Métro: Chaussée d'Antin

K BANK
O POLSKA KASA OPIEKI S.A.

■ Udziela wszelkich informacji osobiście, telefonicznie i odpowiada na zapytania listowne.

- Przyjmuje zlecenia z FRANCJI do POLSKI na towary PKO oraz pieniądze jako pomoc i dary dla rodzin i znajomych w Polsce. Dostawa towarów i gotówki następuje wprost do domu adresata.
- Przekazuje wpłaty na koszty podróży dla osób zaproszonych z Polski do Francji.
- Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe.
- Na żądanie wysyłamy nasze prospekty, cenniki i materiały informacyjne.

Bardzo niskie koszty i wykwalifikowana obsługa

Opinia katolików polskich

BISKUP DEFREGGER i
PROBLEM ŁAGODNOŚCI

DUŻE ZAINTERESOWANIE w prasie zachodnio-europejskiej wywołał artykuł pt. „Sprawa biskupa Defreggera”, zamieszczony w „Tygodniku Powszechnym”. Jest to — jak wiadomo — pismo katolickie ukazujące się w Krakowie. Uchodzi za wyrazieliwą opinią całego polskiego episkopatu, a przynajmniej kurii metropolitarnej w Krakowie. Artykuł redakcyjny obiektywnie i wszechstronnie przedstawia całą sprawę biskupa, który jako kapitan Wehrmachtu wydał swemu podkomendnemu por. Ehlertowi rozkaz rozstrzelania 17 całkowicie niewinnych mieszkańców wioski Filetto we Włoszech.

„Władze sądowe we Frankfurcie nad Menem prowadziły w tej sprawie od 1964 roku śledztwo, ale zostało ono umorzono w maju br. na tej podstawie, że chodziło o „udzielenie pomocy w zabójstwie, a to przecież (po 15 latach) uległo przedawnieniu”.

„Tygodnik Powszechny” wyrażając opinię znacznej części polskich katolików podkreślił więc, że nawet zachodniemiecki wymiar sprawiedliwości wdrażając dochodzenie nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że Defregger jako kapitan Wehrmachtu był winnym zbrodni wojennej. Następnie zacytowano opinię katolickiego czasopisma „Publik” ukazującego się w Zachodnich Niemczech, że „sprawa Defreggera stanowi dla szerokiego kręgu niemieckiego katolicyzmu szok odbierający mowę”.

„Publik” przypomina — czytamy w „Tygodniku Powszechnym” — że według prawa kanonicznego księdzem nie może być sędzia, który nawet zgodnie z prawem wydał wyrok śmierci, bowiem ręce kapłana muszą być czyste od krwi, nawet od krwi winnego.”

Jest tu mowa o tzw. „przeszkodzie łagodności”. Według tego przepisu prawa kanonicznego księdzem nie może zostać nie tylko sędzia, lecz każdy, kto wydał rozkaz, także legalny, przelania krwi człowieka, kto z własnej woli podjął się wykonania wyroku śmierci lub nawet zastrzelenia w czasie akcji upatrzono wroga, nie mówiąc już o „zwykłych” zabójcach. Według prawa kanonicznego od „przeszkody łagodności” nie ma żadnej dyspensy, także papieskiej. Kapitan Defregger, awansowany później na majora Wehrmachtu, nie powinien więc być nie tylko biskupem, lecz nawet księdzem. Widocznie jednak inne wpływy decydowały o jego karierze. Protektor biskupa kardynał Doepfner — jak wiadomo — dwukrotnie publicznie występował w jego obronie, a jedną z tez monachijskiego księcia księcia „Tygodnik Powszechny” cytuje:

„Kard. Doepfner stwierdził, że przed nominacją ks. Defreggera na biskupa zbałał gruntownie cały ten kompleks spraw i doszedł do przekonania, że według obowiązującego w czasie wojny prawa międzynarodowego nie zaistniał winny stan faktyczny, zwłaszcza że dywizja Defreggera znajdowała się w szczególnie niebezpiecznym odwrocie”.

Chociaż więc kardynał wiedział o swoim przyszłym biskupie-sufraganie wszystko, nie poinformował ani nuncjusza apostolskiego, ani Rzymskiej Kongregacji do spraw Biskupów. W „Tygodniku Powszechnym” czytamy:

„Ks. Mathias Defregger nie ukrył przed swymi przełożonymi tego wydarzenia ze swego życia. Jego zwierzchnicy kościelni w NRF nie uznali jednak sprawy Filetto za powód do zmiany przychylniejszej opinii o Defreggerze”.

I na tym właściwie polega sensacyjność tej niemoralnej i nieetycznej sprawy. Niemiecki kapitan mógł według niemieckiego kardynała rozkazywać, by wykonano zbrodniczy „wyrok” dowódcy dywizji zamordowania 17 niewinnych. Uzasadniał to bowiem fakt, że „dywizja Defreggera znajdowała się w szczególnie niebezpiecznym odwrocie”. Inaczej mówiąc: według monachijskiego kardynała, groźba klęski Niemiec rozgrzeszała każdy krwawy czyn Wehrmachtu, czyn niezgodny z żadnym prawem międzynarodowym. Żadne prawo nie pozwala bowiem brać zakładników i rozstrzeliwać. Dodajmy do siebie, że wyznaczenie moralne wysokiego kościelnego hierarchy w Zachodnich Niemczech może naprawdę wzbudzić zdumienie.

Nawiasem mówiąc, kapitan spod Filetto był w wywiadach udzielanych prasie i telewizji niemieckiej agresyw-

ny. Oskarżał m.in. prasę, a o sobie powiedział, że „z punktu widzenia prawnego, a przede wszystkim moralnego, czuje się niewinny”. Jego wypowiedź dowodząca, iż do moralnej odpowiedzialności nie poczuwa się, „Tygodnik Powszechny” obszernie cytując, pisząc w zakończeniu własny komentarz, który właśnie stał się przedmiotem żywego zainteresowania prasy zachodnioeuropejskiej. Przytaczamy obszerne fragmenty:

„Kapitan Defregger stanął w 1944 r. wobec następującej alternatywy: albo odmówić stanowczo wykonania rozkazu generała, albo zgodzić się na współudział w egzekucji niewinnych ludzi. Gdyby odmówił wykonania rozkazu, prawdopodobnie zginąłby, ale jako bohater dobrej sprawy. Jeśliby odmówił, ocalał, zyskałby na pewno jedną z podstawowych kwalifikacji moralnych, by zostać w przyszłości biskupem — duchowym przywódcą katolików swego narodu. Niestety, kapitan Defregger nie odmówił wykonania rozkazu, który był rozkazem w najwyższym stopniu nieetycznym, a tym samym obiektywnie ponosi współodpowiedzialność za śmierć 17 niewinnych ludzi.

Opinia publiczna stawia pytanie, czy w tej sytuacji można było proponować ks. Defreggera na stanowisko biskupa; czy mógł on przyjąć tego rodzaju nominację i jak powinien obecnie postąpić...

Opinia publiczna ma prawo spokojnie i bez demagogii rozpatrywać tego rodzaju problemy. Domaga się tego podstawowe poczucie sprawiedliwości, zaistniałe wielkie zgorznienie oraz ogólnoludzkie względy natury moralnej i pedagogicznej.

„człowieka tak obciążonego jak kpt. Defregger nie należało proponować na tak zaszczytny i odpowiedzialny urząd kościelny, jakim jest urząd biskupa; ks. Defregger nie powinien być tej nominacji przyjął; obecnie powinien zrezygnować z zajmowanego stanowiska.

Zdarzają się bowiem w życiu człowieka takie ostateczne sytuacje, które albo go nobilitują, albo niezależnie od wielkości subiektywnej winy — dyskwalifikują społecznie aż do śmierci”.

AUSTRALIJCZYK W POWSTANIU WARSZAWSKIM

PRZY SZTABIE w czasie Powstania Warszawskiego znalazł się Anglik J. Ward, lotnik i dziennikarz w jednej osobie, korespondent wojenny zbiegły z niewoli niemieckiej. Ward uczestniczył w codziennych powstańczych konferencjach prasowych, zbierał wiadomości i pisał reportaże z walczącej Warszawy, po czym nadawał je w audycjach radiowych po angielsku.

Drugim żołnierzem armii brytyjskiej, którego losy zagwały na czas powstania do Warszawy, był Australijczyk Smith. Wysoki blondyn o jasnych niebieskich oczach; pochodził z Sydney. Do niewoli niemieckiej dostał się na Krecie. Nie wytrzymał w niej i uciekł. W kilka dni później przy likwidowaniu przez hitlerowców oporu brytyjskiego na tej wyspie, Niemcy schwytali go, przewieźli do Grecji i umieścili w obozie, z którego zbiegł przy pierwszej nadarzającej się okazji. Ukrywał się przez sześć miesięcy, ale ponownie wpadł. Specjalnym konwojem, złożonym z czterech żandarmerów, przetransportowano wtedy Smitha do Rzeszy. Tu uciekał kolejno z różnych obozów jenieckich cztery razy, czyli razem siedem. Ostatni raz z obozu na polskim Pomorzu, skąd po przeszło rocznym dobrym sprawowaniu został przeniesiony wraz z towarzyszami jenieckiej niewoli do robót polnych w majątku polskim zarządzanym przez Niemców. Chłopi polscy zaopatrzyli go tu w cywilne ubranie i po kolejnej ucieczce w ciągu kilku tygodni dotarli do Warszawy w kwietniu 1944 roku.

Nie znał tu nikogo. Wszedł do małej kawiarenki przy placu Napoleona i w języku niemieckim zamówił kawę. Młoda kelnerka nawiązała z nim rozmowę. Ponieważ Smith nie bardzo wyglądał na Niemca, zapytała go jakiej jest narodowości. Zaryzykował i przyznał się, że jest żołnierzem brytyjskim, że uciekł z niewoli i że potrzebuje pomocy.

W kilka minut później kelnerka sprowadziła dwóch panów, którzy przedstawili się jako członkowie polskiej organizacji podziemnej. Smith zaufał im. Zabrali go dorożką na Saską Kępe. Przesiedziało tu w jakimś domu dwa dni, po czym otrzymał dokumenty robotnika belgijskiego pracującego w Warszawie, zamieszkałego „legalnie” na Starym Mieście. W jakiś czas później ożenił się z Polką. Ona nie znała języka angielskiego, on — polskiego, porozumiewali się po niemiecku. Ona była członkiem jakiejś kobiecej organizacji podziemnej, on wstąpił do AK i miał być niebawem zaprzysiężony.

PODHALAŃSKA WILLA „HARNASIE”
W KAPSZTADZIE

Na łamach „Kurier Lubelskiego” ukazał się wywiad z przybyłym do Polski prezesem Polskiego Towarzystwa Kulturalnego w Płd. Afryce — Józefem Janikiem. W wywiadzie czy-

„Sprowadzenie z Zakopanego do odległego o blisko 3 tys. kilometrów Kapsztadu zakopiańskich mebli, kilimów i kenarowskich rzeźb — to bezsprzeczny dowód patriotyzmu! Przedmioty te importował założyciel i prezes Polskiego Towarzystwa Kulturalnego w Płd. Afryce, Józef Janik (pełniący tę funkcję od 1955 r.) dla siedziby Towarzystwa, którą jest okazała willa należąca do p. Janika i wybudowana w stylu zakopiańskim. Rezydencja nasza nazywa „Harnasie” uchodzi za jedną z najpiękniejszych w Kapsztadzie. Pana Janika, który przybył z kolejną wizytą do Kraju w towarzystwie małżonki, pytamy o działalność Towarzystwa.

Towarzystwo prowadzi ożywioną pracę kulturalną, polegającą m.in. na prezentowaniu polskich filmów dokumentalnych i fabularnych. Od 1960 r. pokazaliśmy ich 62, w 5 klubach filmowych. Oprócz tego naszą działalność wypełniają prelekcje o polskiej sztuce i literaturze. Ośrodkiem polskiej kultury jest też nasza biblioteka obejmująca ok. 5 tys. tomów.

Tak zwany bakcyl działacza kulturalnego toczy pana nie od dziś.

Istotnie. W czasie wojny prowadził pracę kulturalną przy polskich dywizjonach lotniczych w Northholt, za co w 1943 r. otrzymał z rąk slyn-

KONSERWACJA ZABYTKÓW
SAKRALNYCH

Wrocław posiada jeden z najlepszych ośrodków konserwacji zabytków w Polsce. We wrocławskiej pracowni konserwacji zabytków pracuje 40 ludzi. W tegorocznych planach tej pracowni przewiduje się rozpoczęcie prac przy rekonstrukcji sklepień w kościele św. Wincentego i prace konserwatorskie w gotyckim kościele św. Marii Magdaleny, w którym w przyszłości mają odbywać się koncerty muzyki organowej. Ponadto odremontowany ma być garnizonowy kościół św. Elżbiety.

nego kapitana Bajana pierścionek z polskim herbem.

— Jak liczna jest Polonia w Afryce Płd.?

— Obejmuje blisko 5 tys. osób. Wśród Polaków południowo-afrykańskich znajdują się ceniący rzemiosło, kupcy, inteligencja techniczna. Czterech Polaków wykiada na wyższych uczelniach Kapsztadu, dwóch na architekturze i po jednym na elektronice i geografii.

— A pana życiorys?

— Pochodzę z Bielska, kończyłem podchorążówkę w Dęblinie; walczyłem w lotnictwie w Anglii w dywizjonach 302, 303 i 315. Po wojnie trafiłem do Afryki Płd. Ale i tu nie pożegnałem się z lataniem. Przed kilku laty kupiłem w Polsce samolot typu „Kos”, którym odbywałem loty również w sprawach związanych z działalnością Poolse Kultuurvereninging in Suid-Africa, bo tak brzmi nazwa Towarzystwa w języku burskim. Wracając do „Kosa”: jest maszyną ekonomiczną, zwrotną, sprawną technicznie. Dobra polska wizytówka w Afryce Płd.

— Wracając do siedziby polskiego Towarzystwa — czy willę „Harnasie” projektował architekt z Zakopanego?

— Projekt był dziełem młodego polskiego architekta mieszkającego w Kapsztadzie, Zbigniewa Kaczmarka, pozostającego pod przemożnym wpływem Witkacego — nie tylko w pisarstwie ale i w sztuce.

— Wnętrze siedziby Towarzystwa ma wiele akcentów folkloru...

— Konkretnie — folkloru zakopiańskiego. Część mebli według wzorów góralskich wykonał tutejszy stolarz, Szwajcar z pochodzenia. Wnętrze „Harnasiów” zawiera jeszcze takie polonica jak: 20 orłów rzeźbionych w drzewie, zdobiących klatkę schodową, replikę arrasu wawelskiego oraz powiększoną do średnicy 1 metra monetę sztuczotową z Mieszkiem i Dąbrówką.

— Stwierdziłem z przyjemnością, że małżonka pana mówi świetnie po polsku, chociaż bawi w Polsce po raz pierwszy.

— Moja szkoła! Jesteśmy od blisko 29 lat małżeństwem. Gdy poznałem żonę w czasie wojny w Anglii, nie znała ani jednego polskiego słowa. Pochodzi z Wiednia i jest z wykształcenia pianistką. Od 15 lat uczy muzyki w Kapsztadzie. Jej ukochany kompozytor to Chopin.

Smith codziennie odwiedzał naszą powstańczą redakcję Polskiej Agencji Telegraficznej (PAT). Szukał w radiodzienniku stacji ze swej odległej ojczyzny. Na próżno. Jeden z kolegów zrobił z nim wywiad, w którym Australijczyk opowiedział bajeczne szczegóły swych siedmiu ucieczek z niemieckiej niewoli. Wywiad został nadany przez radio. Przejęto go w Anglii i przekazano do Australii. W Sydney odwiedził rodzinę Smitha przedstawiciel polskiej prasy emigracyjnej i drogą radiową przesłał mu od niej pozdrowienia. W domu uważano go za nieżyjącego.

Smith poznał nienawist Polaków do hitlerowskich okupantów. I w pełni ją rozumiał. Opowiadał, że był świadkiem rozstrzelania przez Niemców sześciu żołnierzy polskich, również jeńców, bez poważnego powodu, choć chroniło ich prawo międzynarodowe, na które Smith powoływał się każdorazowo, gdy po ucieczce wpadł ponownie w ręce niemieckie.

Powstanie w Warszawie zastało Smitha przy placu Żelaznej Bramy. Podczas strzelaniny ukrył się za drzewem, przesiedziało za nim przez dwa dni, gdyż obstrzał szedł ze wszystkich stron i nie można się było ruszyć.

— Zawsze myślałem — opowiadał nam potem — że najdzielniejsi żołnierze w świecie to Australijczycy. Ale kiedy w pierwszych godzinach powstania widziałem na placu Żelaznej Bramy jak dwóch czterastoletnich chłopców z bronią maszynową w rękach wyskoczyło z ukrycia i zaatakowało duże niemieckie auto pełne uzbrojonych żandarmerów, zmieniłem zdanie. Najdzielniejsi żołnierze to Polacy! Na drugi dzień widziałem barbarzyństwo hitlerowców. Zabili trzy siostry Czerwonego Krzyża, które kolejno, nie zważając na niebezpieczeństwo i los poprzędniczek, starały się przynieść pomoc rannemu powstańcowi.

Smith był odważny, ale miał duży respekt przed niemieckimi samolotami. Kilkrotnie przypominał nam, że w czasie walk na Krecie pokryły niemal całe niebo i nie było na nie rady. Brytyjskich maszyn naliczył wtedy tylko 17. Mimo to wierzył w zwycięstwo aliantów nad Hitlerem. Kiedy opowiadał o swych przygodach wojennych i porównywał je z niektórymi wyczynami powstańców, do dawał żartem, że to wielka szkoda, iż Polacy nie mogą mieć wspólnej granicy z Australią.

Co się stało ze Smithem po kapitulacji powstania? Już żeli dostał się ponownie do niewoli niemieckiej, chyba uciekł po raz ósmy.

Stanisław ZIEMBA

CHŁOPCY Z CENTRALNEJ I POŁUDNIOWEJ FRANCJI W POLSCE WIZYTA FRANCUSKIEGO KONSULA NA KOLONIACH WE WRONIAWACH



„Rodzinka” na tle wejścia do swej letniej rezydencji

ROZMAWIAMY w pokoju bilardowym pałacu we Wroniawach, w zachodniej Wielkopolsce. Kolonie letnie dla młodzieży polskiej z zagranicy urządziła się tu od roku 1963, ale nigdy jeszcze nasi mili goście nie wywozili wrażenia o Polsce jako o kraju tak słonecznym. Przez całe cztery tygodnie pogoda dopisywała im wyjątkowo, a jedynym dniem pochmurnym był — taki dziennikarski pech — dzień naszej wizyty we Wroniawach.

Pałac znajduje się w gęstym jak las parku, przed budynkiem rozpościera się wielobarwny kwiatnik. Na wysokim parterze mieszczą się jadalnia, świetlica, czytelnia. Na piętrze zaglądamy do kilkuosobowych, czystych sypialni. Po rezydencji naszych gości z Francji oprowadza nas kierowniczka kolonii pani Helena Czernikow. Nie może nam jednak przez cały czas dotrzymać towarzystwa. Gościnność gościnnością, ale pańskie oko konia łuszy — kierowniczka musi osobiście przypilnować wszystkich ważniejszych spraw, które dzieją się w pałacu, wszystkich ważniejszych przygotowań. Zresztą pani Helena pamięta nawet o tym, żeby chłopcy nie nosili zbyt długo w kieszeniach widokówek i listów, które napisali do rodziców.

Personel kolonii ma sporo pracy, żeby pobyt młodych francuskich Polaków we Wroniawach był jak najprzyjemniejszy, jak najpożyteczniejszy, jak najbardziej urozmaicony. Do towarzystwa 39 „Francuzom” dodano 21 rówieśników z Polski.

— Czasem parotygodniowy pobyt w Kraju nie da tyle, co kilkugodzinna rozmowa, zaprzyjaźnienie się właśnie z rówieśnikami.

Sześćdziesięciu chłopaków podzielono na 4 grupy, każda ma swojego wychowawcę. Pana Henryka HELWINGA zastąpił na przyjacielskiej pogawędce z wychowankami w jednym z pokoiów mieszkalnych, grupa pana Zygmunta STACHECKIEGO popisywała się całkiem niezłym wykonaniem piosenek polskich, których chłopcy nauczyli się przez parę tygodni pobytu w Kraju ojców. Śpiewają „Słoneczko”, „Te opolskie dziouchy”, „Wszystko, co nasze”, „Piosenkę jubileuszową” na 25-lecie Polski Ludowej. Podczas wciągania biało-czerwonej flagi na maszt przed pałacem śpiewają „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Nie mieliśmy, niestety, okazji poznać przemilego wychowawcy, który przyjechał z Francji z chłopcami, młodziutkiego Stefana ŁUKOWIAKA, o którym kolega z Polski, Włodzimierz Jankowski wyraża się z najwyższym uznaniem:

— Szczególnie zaimponowało nam tu wszystkim wyjątkowe jego przywiązanie do Polski i jej spraw. Dziadek Stefana wyemigrował przed kilkudziesięciu laty z Wielkopolski, co zresztą słychać w wymowie wnuka, który bardzo swobodnie mówi po polsku.

— A jak przedstawia się sprawa znajomości języka ojczystego wśród chłopców z emigracji? — pytamy wychowawców.

— Bardzo różnie. Znajomość polskiego zależy między innymi od tego, kto wyemigrował — ojciec czy dziadek, jak również — czy rodzice są inteligentami, czy robotnikami. W rodzinach ludzi prostych (wśród uczestników kolonii jest zdecydowana większość dzieci robotniczych) język ojczysty utrzymuje dłużej swoją żywotność. Najprościej wyjaśnił nam tę kwestię Janek Szewczyk, syn i wnuk górników — zagadnięty, jak się to dzieje, że on mówi dobrze po polsku, a z jego kolega, starszym nawet, trudno nam jest porozumieć się.

— Bo moi rodzice zawsze mi gadali po polsku.

Janek nosi na piersi ozdobny guzik z wizerunkiem czerwonego, filuternie uśmiechniętego serduszka z przymrużonym oczkiem i z napisem „wolne”. U niego to jeszcze zabawa, ale jego starsi o dwa, trzy lata koledy boleśniej już odczuwają to, o czym śpiewają w „Piosence o dalekiej przyjaźni”:

— „Tylu ludzi wciąż się w świecie mijają...”

Najmilej wspominają chłopcy wycieczkę na Wybrzeże. Pozostał im w pamięci mrok starych gdańskich kościołów, śmiałe kształty pomników i jasne, pastelowe kolory nowych budowli. — Nigdy by się nie spodziewali, że w Polsce tyle się buduje; wszędzie powstają nowe domy, fabryki, szkoły; buduje się ogromne statki dalekomorskie. Ale, jako chłopcy, najbardziej chłoną wiadomości z okresu wojny, i to prawdziwe relacje, dokumenty. Z filmu fabularnego, polskiego „westernu” — „Wilcze echa” wychodzili znudzeni. Filmy dokumentalne: „Wrzesień 39” czy „Aby kwitło życie” oglądali z zapartym tchem. Największe wrażenie wywarło na nich prawdziwe zetknięcie się z miejscem pamiętnych bohaterkich walk — Westerplatte.

— A tu, w samych Wroniawach?

— Czujemy się świetnie. Jedzenie dobre, nawet lepsze niż u mamy; czystutko, ładna okolica...

Rzeczywiście — złociste pola, zielone lasy, dużo kwiatów w ogrodach, połyskujące słońcem jeziora, nad które wyjeżdżają chłopcy rowerami lub mikrobusem, by się kąpać.

— Tylko... miasto za małe (mowa o pobliskim Wolsztynie) i — nie ma dużo dziewcząt.

Organizatorzy kolonii zdają sobie doskonale sprawę, że chłopcom w tym wieku potrzebne są nie tylko siatkówka i piłka ręczna. (Specjalista wychowania fizycznego skarży się, że goście z Francji nie bardzo garną się do gier na wolnym powietrzu). Za młodzi są jeszcze, by się zachwycać pięknem niebieskich fajansów na starych piecach, podziwiać majoliki i witraże, które we wroniawskim pałacu zdobiją nawet łazienki. Chłopcy ożywiają się w czasie wycieczek, a szczególnie w czasie wzajemnych odwiedzin z kolonią dziewcząt, która znajduje się w pobliskiej wsi Mochy.

Zawiązało się i przy tych okazjach wiele nowych przyjaźni, sporo wymieniono adresów. 15-latek o historycznym nazwisku Henryk Dąbrowski wyznał mi, że będzie korespondował z Ewą.

Prawdę mówiąc, na nudy i tęsknoty nie było tu czasu. Oprócz pięciodniowej wycieczki na Wybrzeże (m.in. przejażdżka statkiem na Hel), odbyli także kilkudniową wyprawę na piastowski Śląsk, w Góry Stołowe, gdzie chłopcy zachwycali się niepowtarzalnymi skałami, przedziwnie naśladowającymi kształty różnych zwierząt i postaci ludzkich; spali dwie noce w malowniczym schronisku górskim na Szczelińcu, zwiedzili Wrocław, uzdrowiska dolnośląskie.

W okresie święta narodowego 22 Lipca część chłopców była w Warszawie. Obejrzel tam centralną defiladę.

Ci chłopcy, którzy w okresie Święta Odrodzenia zostali we Wroniawach, wzięli udział w uroczystościach lokalnych, w powiatowym Wolsztynie. Z okazji 25-lecia Polski młodzi Rodacy z Francji wręczili gospodarzowi terenu, przewodniczącemu Powiatowej Rady Narodowej — bukiet z 25 białych i czerwonych goździków, przewiązanych trójkolorową szarfą o barwach narodowych Francji. Nieśli to z przejęciem, jak relikwie.

Uczestnicy kolonii gościli we Wroniawach — jak zresztą co roku — wicekonsula Francji w Polsce, pana Maurice Seillera, który w ciepłych słowach ocenił wysiłki organizatorów kolonii. Dośtojnego gościa poproszono, jak zwykle, o wpisanie się do bogato ilustrowanej zdjęciami kroniki kolonii. Te księgę pamiątkową prowadzi się tu już od szeregu lat.

Dokończenie na str. 21



Każda droga we Wroniawach rozpoczynała się na tych schodach



Chłopcy z zapalem uczyli się modnych polskich piosenek



Po całodziennym bieganiu apetyty dopisywały nadzwyczajnie

Wieczorem, przed snaniem można było poczytać albo zorganizować wieczorek muzyczny



CZESŁAW JANTA

NOWE PRĄDY WŚRÓD INTELIGENCJI POLONIJNEJ USA

(Korespondencja własna z Chicago)

Jednym z najbardziej charakterystycznych i korzystnych objawów życia Polonii amerykańskiej w ostatnim okresie jest powstanie nowych prądów wśród inteligencji polonijnej w Stanach Zjednoczonych.

Jak wiadomo, inteligencja zawodowa stanowiła bardzo nieliczną warstwę aż do drugiej wojny światowej, ograniczając się przeważnie do lekarzy, prawników i farmaceutów. W ostatnich dziesięcioleciach nastąpiła poważna zmiana. Coraz więcej młodzieży polonijnej kończyło wyższe studia, tworząc w taki sposób liczne kadry inżynierów, nauczycieli, bibliotekarzy, plastyków, dziennikarzy, pracowników naukowych i profesorów. Zastępy polonijnej inteligencji zawodowej zostały również powiększone o emigrantów przybyłych z różnych krajów europejskich i Polski — pracowników naukowych i profesorów.

Przeobrażenie większości inteligencji zawodowej nie brała jednak udziału w życiu polonijnym. Ani organizacje polonijne, ani różne zrzeszenia kulturalne nie korzystały z pomocy coraz liczniejszych warstw inteligencji zawodowej. A trzeba pamiętać, że samych pracowników naukowych i profesorów pochodzenia polskiego jest w Stanach Zjednoczonych około 2000, a liczba inżynierów i techników sięga paru dziesiątków tysięcy.

Ostatnio możemy odnotować pewien zwrot w stosunku inteligencji do społeczności polonijnej. Wyrazem tego była odbyta niedawno w Szkole Związkowej w Cambridge Springs, Pa. z inicjatywy Kongresu Polonii amerykańskiej pierwsza w historii konferencja intelektualistów polsko-amerykańskich poświęcona sprawom polonijnym.

Konferencja ta postawiła sobie za zadanie opracowanie takiego planu działalności kulturalnej i propagandowej, która pokazałaby społeczeństwu amerykańskiemu prawdziwe oblicze Polonii. Uchwalono w tym celu wydać cztery prace doktorskie na tematy związane z Polską lub polskością, skatalogować wszystkie zbiory biblioteczne z działami polskimi w języku polskim i angielskim o tematyce polskiej i propagować nauczanie języka polskiego i kultury polskiej w szkołach publicznych, parafialnych i doksztalujących.

Jeśli chodzi o tematykę książek, podkreślono wagę zapoznania społeczeństwa amerykańskiego z historią Polski, z historią emigracji polskiej w Stanach Zjednoczonych i z wkładem Polonii w rozwój kultury amerykańskiej. Czasopisma polonijne winny być sfilimowane, co da możliwość pracownikom naukowym i badaczom przesłania działalności Polonii na podstawie zawartych w nich informacji. Szczególną uwagę należy poświęcić szkoleniu nauczycieli, którzy wykładaliby w szkołach amerykańskich język i literaturę polską, historię i geografie Polski. Przy Zarządzie Kongresu Polonii Amerykańskiej mają być stworzone Naukowy Komitet Doradczy oraz grupa referentów, którzy mają występować z odczytami w języku angielskim na tematy polskie i polonijne.

Jest to niewątpliwie rozległy plan działania, który wywołał nawet pewne zastrzeżenia w prasie polonijnej, czy będzie mógł być zrealizowany, ale ogólna sytuacja, w jakiej odbywała się ta konferencja, skłania raczej do przypuszczenia, że uchwały konferencji będą stopniowo wprowadzane w życie.

Konferencja intelektualistów polsko-amerykańskich odbywała się bowiem w chwili, gdy nastąpiło poważne ożywienie życia polonijnego w Stanach Zjednoczonych. Na ożywienie to złożyły się głównie trzy czynniki: 1) poważna

aktywizacja wszystkich grup etnicznych w Stanach Zjednoczonych, spowodowana między innymi walką Murzynów z dyskryminacją. Pisał o tym detroicki „Dziennik Polski”, który podkreślił, że „dzięki bojowości elementu murzyńskiego inne grupy etniczne w Ameryce zaczęły odświeżać się i z dumą wykazywać swój charakter”. W wyniku tego potrzebę zachowania swego pochodzenia etnicznego zaczynają w coraz większym stopniu odczuwać drugie, trzecie i czwarte pokolenia tych grup, w tym i polskiej. Znajduje to wyraz we wzmożeniu walki z dyskryminacją, co jest szczególnie ważne dla Polonii, która nie korzysta z pełnych praw obywatelskich ani w fabrykach, ani przy obsadzaniu stanowisk miejskich, stanowych lub federalnych; 2) bezprzykładna nagonka na Polskę i Polonię w prasie, radiu i telewizji amerykańskiej. Kampania ta wywołała tak duże oburzenie wśród Polonii amerykańskiej, że z inicjatywy Zrzeszenia Prawników Polsko-Amerykańskich, obejmującego młodych Amerykanów pochodzenia polskiego przeważnie z drugiego, trzeciego i czwartego pokolenia, Kongres Polonii Amerykańskiej ogłosił w kilku największych pismach amerykańskich Manifest, który po podkreśleniu wkładu narodu polskiego do sprawy wolności narodów protestuje przeciw zniesławianiu Polaków. Przy opracowaniu swego planu działalności konferencja intelektualistów polsko-amerykańskich brała pod uwagę tę kampanię, podejmując odpowiednie kroki, by nie tylko odpiąć i obalać antypolskie i antypolonijne oszczerstwa, lecz by w sposób pozytywny pokazać wkład Polaków do kultury i cywilizacji ludzkiej; 3) poważną rolę — a w wielu wypadkach decydującą —

odgrywają w zmianach wśród Polonii i jej inteligencji zawodowej osiągnięcia gospodarcze i kulturalne Polski Ludowej i jej miejsce we współczesnym świecie, jej pomoc w utrzymaniu polskości środowisk polonijnych.

Jednym z przykładów świadczących o tym, co myśli o współczesnej Polsce inteligencja polonijna, jest artykuł, jaki się ukazał w organie Zrzeszenia Chicago Society, obejmującego czołową inteligencję największego skupiska polonijnego w Stanach Zjednoczonych. Zrzeszenie to zorganizowało w tym roku wycieczkę do Polski.

W artykule tym, napisanym przez prezesa dr Johna F. Kalinę zaznaczono, że brak jedności myśli i czynu cechuje życie Polonii amerykańskiej. Wynika to z faktu, że wielu Polaków amerykańskich nie współpracuje z Polską.

Oskarża on tych, którzy żyją tylko przeszłością i usiłują oderwać Polonię od Polski. Twierdzi, że już czas, aby przestali oni po 25 latach odbudowy, uprzemysłowienia i zjednoczenia narodu polskiego atakować dzisiejszą Polskę i zmierzać do przywrócenia Polski przedwojennej.

„Potrzebny nam jest wspólny mianownik — pisze dr Kalina — aby uzyskać zjednoczenie naszej grupy etnicznej. Musimy brać to, co istnieje dziś, współpracować z tym, być dumnym z niego, pomóc rozwijać, być jego częścią.”

„Jeśli żywymy lekkie nadzieje, że wyzwolimy Polskę z tzw. jarzma komunistycznego — to nie mamy kraju, dokoła którego możemy się skupić. Nie możemy się jednoczyć wokół marzenia. Jeśli stare granice mają być przywrócone, będzie chaos” — ciągnie dalej dr Kalina.

I wreszcie dr Kalina dochodzi do następujących wniosków, gdy pisze: „Pracujmy z tym, co posiadamy! To jest piękne! To jest postępowe! To jest kulturalne! To jest schludne! To jest praworządne! To jest doskonałe! To jest uprzemysłowione! To jest rolnicze! — I czy zdajecie sobie sprawę, czy nie, Polska jest i zawsze była światową potęgą o pierwszorzędnym znaczeniu. Oto jest Polska, z której grupa Chicago Society dopiero co wróciła, Polska, która wywarła na nas duże wrażenie, dostarczyła nam dużo radości i zadowolenia.”

Wiele entuzjastycznych słów zostało wypowiedzianych przez blisko 30.000 Polaków amerykańskich, którzy odwiedzili Polskę w tym roku. Ale tak pięknie wyrażonych myśli, i to ogłoszonych przez reprezentanta polonijnej inteligencji zawodowej, urodzonej w Ameryce, nie spotkaliśmy dotychczas.

Daje to obraz tych nowych, i to silnych nurtów, jakich jesteśmy świadkami wśród inteligencji polonijnej.

Wszystkie te czynniki — jak podkreślił powyżej — wpływają na całość życia amerykańskiej społeczności polonijnej. Znalazło to również wyraz w zgodnych i pomyślnych obradach konferencji intelektualistów polsko-amerykańskich, której decyzje mogą być realizowane przy pełnym poparciu Polonii i — co jest bardzo ważne — przy ścisłej współpracy z Krajem.

Realizacja tych uchwał przyczyni się w znacznym stopniu do większego zainteresowania studiującej młodzieży polonijnej zagadnieniami polskimi oraz pomoże w szerokiej akcji prowadzonej obecnie przez wszystkie organizacje polonijne w celu zachęcenia młodzieży polonijnej do podjęcia studiów na wyższych uczelniach w Stanach Zjednoczonych lub w Polsce. Mimo bowiem poważnego wzrostu ilości polonijnej inteligencji zawodowej, jest ona w stosunku do innych grup etnicznych jeszcze liczbowo za skromna. Ośmiomilionową Polonię amerykańską stać bowiem na znacznie większy procent młodzieży studiującej aniżeli jest obecnie.

Wzrost liczebny polonijnej inteligencji zawodowej podniesie znaczenie Polonii amerykańskiej i przy dalszym rozwoju nowych prądów, których treścią jest zbliżenie do Polonii i Polski znacznych grup inteligencji polonijnej odegra poważną rolę w budowie przyjaźni polsko-amerykańskiej.

ARCHIWUM POLSKO-FRANCUSKIE

„POLSKI WIERSZ” LAMARTINE'A

W bieżącym roku Francja obchodzi stulecie śmierci jednego ze swoich najznakomitszych poetów romantycznych, Alphonse de Lamartine (1790—1869), który był również postępowym działaczem politycznym. Najgłośniejszym utworem Lamartine'a jest „Le Lac” („Jezioro”) — wiersz o czasie, wieczności i przemijaniu, w którym uniemiętelnił poeta malownicze jezioro alpejskie Le Bourget. Jeden z jego wierszy — „Elegię” — przełożył na język polski Juliusz Słowacki; nazwisko Lamartine'a pojawia się także parokrotnie w korespondencji Słowackiego.

Autor „Jeziora” żył i tworzył w epoce, kiedy pozbawiona przez mocarstwa ościenne bytu państwowego Polska była pisarzem francuskim szczególnie bliska. O Polsce pisał wielu współczesnych mu poetów, m. in. Victor Hugo, Alfred de Musset, Maurice de Guérin, Auguste Barbier oraz Casimir Delavigne, którego „Warszawianka” stała się jedną z najbardziej popularnych w Kraju pieśni wyzwolenieńczych. Sam Lamartine jeden ze swoich wierszy zatytułował „Do młodej Polski”. W przekładzie polskim Juliana Ejsmonda utwór ten brzmi następująco:

„Eabędz odbija się w przejrzystej fali,
Gdy na jeziorze lazurowym gości.
Bóg — we Wszechświecie, co go
kornie chwali.

My — w potomności,
Jak wszystkich jezior północnych
powierzchnie.
Potomność zimna jest i lodowata,
Cóż nam z jej blasków, co są z tego
świata,
Gdy życie pierzchnie?

W sercu żyjącym znaleźć swe odbicie,
Z oczą dziewczyczych jasnego
spojrzenia

Wyczytać miłość, co ozlaca życie —
To me marzenia.

Tyś mą ostoją. W tobie moja chwała.
Niech czas me pieśni zapomni i zgłuszy,
Byleby pamięć o mnie pozostała
Jeno w twej duszy.

Stać się najstodszym marzeniem
kobiety

I cieniem, który wiecznie przy niej
gości —
Nie masz piękniejszej nad to dla poety
Nieśmiertelności.”

Dodajmy, że jednym z pierwszych badaczy twórczości Lamartine'a był uczony pochodzenia polskiego, Ernest Zyromski, autor opublikowanej w r. 1897 pracy pt. „Lamartine, poète lyrique”.

STULECIE URODZIN ANDRE GIDE'A

Rok bieżący jest we Francji rokiem André Gide'a, jednego z najwybitniejszych prozaików francuskich wszystkich czasów. Gide urodził się w tym samym 1869 roku, w którym zmarł Lamartine, a więc dokładnie sto lat temu; w roku 1948 otrzymał literacką Nagrodę Nobla; zmarł w 1951 roku. Warto wiedzieć, że jedna z piękniejszych książek o Chopinie, jakie

kiedykolwiek napisano — „Notes sur Chopin” („Notatki o Chopinie”), — wyszła właśnie spod pióra Gide'a. Warto także wiedzieć, że Gide nauczył Francję kochać i rozumieć wielu pisarzy obcych, a m. in. wielkiego angielskiego powieściopisarza pochodzenia polskiego — Josepha Conrada-Korzeniowskiego.

RADIOODBIORNIKI — TELEWIZORY

■ Lodówki, maszyny do prania i inne artykuły gospodarstwa domowego ■

LENG-PICARD ET C-ie

16, Place de la Liberté; 423, rue de Lannoy

Telefony; 73.39.43, 73.29.47

ROUBAIX (Nord)

ZE WSPOMNIENIENI STAREGO EMIGRANTA (II)

PO zakończeniu pierwszej wojny i trzy i półletniej służbie wojskowej, z bliznami i orderami z powstania śląskiego, wróciłem pod rodzinny dach „na koryto mamy”, jak to się wśród nas wtedy mówiło. Żadnych możliwości skończenia szkoły czy nauzenia się jakiegoś fachu nie było, podobnie jak i znalezienia pracy przez tych, którzy fach posiadali. Kraj się bowiem z trudem organizował wśród rozpetanych żywiołów ludzkich, które — zdeprawowane wiekową niewolą — zasmakowały w polityce, często nie znając ani względów, ani litości, a każdy wybraniec narodu mniemał, że to on właśnie dźwiga na swych barkach losy dopiero co odrodzonej Rzeczypospolitej. Zahaczyłem skromnie o ten wir, ale ani mi się podobał, ani potrafił omotać...

Udało mi się za to po jakimś czasie, dzięki znajomości ojca, wkręcić się do drukarni i poduczyć trochę zawodu zecera, ale przy tym zetknąłem się — bodaj pierwszy raz w życiu — z zawzięcia moich wykwalifikowanych towarzyszy pracy. Cóż? „Pies siana nie żre, a krowie nie da”, mówi przysłowie. Zniechęciło mnie to i choć dalej mogłem siedzieć w Kraju, coś jednak poczęło ciągnąć w daleki, nieznan, a może i lepszy świat. Wyjechałem. Było się i tu, i tam. Robiło to i owo, a gdy sił starczyło i trafiła się znów okazja — chwyciłem diabła za ogon i znów zacząłem pracować jako zecer.

Praca ręcznego składacza w drukarni francuskiej dla mnie zatrudnieniem na ogół przyjemnym, gdyż wymagała często szybkiej orientacji, cierpliwości i, powiedziałbym, „dobrego smaku”, no i była w owych czasach niezłe wynagradzana.

Ale praca zarobkowa emigranta wśród obcego środowiska ma to jeszcze do siebie, że potęguje ambicję, jakże często z utratą radości, jaką daje życie, zmusza do większej zaradności i uporu; aby się tylko nie dać, aby „im” dorównać, aby „ich” przewyższyć rzetelną i porządną robotą. A ponieważ na obczyźnie nie można liczyć na pomoc ani taty, ani mamy, jeno na swoje dziesięć palców, stąd rósł „honor”: trzeba być lepszym niż „oni”. I stał prawdopodobnie utarła się za granicą opinia o Polaku jako o solidnym, dobrym pracowniku. Więcej zarabiać było również potężnym impulsem, bo przecież w pogoni za chlebem, czyli za pieniądzem, jechało się w daleki świat...

Przez kilka miesięcy byłem tłumaczem fabrycznym w zakładach samochodowych „Citroen” i z podziwem stwierdzam, jak to „zaambosowani” do fabryki robotnicy polscy, którzy dotąd jako narzędzia mechaniczne znali jedynie pług, bronę, widły lub siekiere, po dwóch-trzech tygodniach skomplikowanych często czynności awansowali na „ouvriers spécialisés” i jako „specjalści” bywali, naturalnie, lepiej wynagradzani. Rodość z tego powodu była do głowy jak dobry szampan.

Podobnie było i ze mną.

Był to okres mechanizacji drukarni i dążenie, by zecera ręcznego zastąpić składaczem maszynowym, czyli tak zwanym linotypistą. Kategoria tych pracowników zajmowała wtedy najwyższy szczebel drabiny zarobkowej we Francji. Jak się więc oprócz pokusie? Przecież opanowałem już wystarczająco w mowie i piśmie język francuski, znów posiadałem pewien zaoszczędzony zapas gotówki, więc... więc udało mi się zrealizować pokusę i zostałem przyjęty na kurs w szkole *Société de la Linotype Française*.

Po upływie trzech miesięcy nastąpił egzamin. Materiał do składania, czyli tak zwany skrypt, wtedy jeszcze ręcznie pisany, różny i dość trudno czytelny, jakoś strawiłem. Wynik: dobry. W ciągu trzech godzin złożyłem przeszło 4.500 liter na godzinę już z poprawkami. Nozdrza rozdymały mi się z zadowolenia, gdy naczelny dyrektor Towarzystwa wręczał mi ozdobny dyplom, mówiąc, że jestem *pierwszym cudzoziemcem*, który zdał egzamin. Więcej — obiecał pomoc i opiekę.

RZECZYWISZCIE, jakoś wkrótce po tym dzwoniłem do drzwi paryskiego deputowanego do Parlamentu, pana Laurent, właściciela *l'imprimerie des Caisses d'Épargne* w miasteczku oddalonym coś o sto kilkanaście kilometrów od stolicy Francji.

Nieszczerólnie jednak musiała brzmieć moja francuszczyzna w uszach owego dystyngowanego posła, bo zaproponował mi małe dyktando. Sięgnął po książkę do szafy i począł dyktować. Napisałem zaledwie parę słów, gdy weszła jego młoda sekretarka i poprosiła go do sąsiedniego pokoju. Oddał jej książkę polecając dyktować dalej...

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Począłem pisać, ale ona, jak tylko zauważyła u mnie jakieś wahanie przy którymś ze słów, zaraz je sylabizowała litera po literze. Rozmowa pana Laurent trwała dość długo, bo po zapisaniu całej strony ładna dziewczyna odłożyła książkę i poczęliśmy gawędzić, jak to młodzi, o niczym i o wszystkim.

Po powrocie pana Laurent popatrzył on na nas, uśmiechnął się, wziął zapisany arkusz, no i po chwili orzekł:

— *Bardzo dobrze, młody przyjacielu. Lepiej piszecie, niż mówicie. Radzę dużo czytać, bardzo głośno i bardzo powoli. Przyjmuję pana do pracy. Tam pilno, więc kiedy wyjazd?*

— Nawet dziś, jeśli trzeba.

WIKTOR MACIEJEWSKI



Autor wspomnień, paryski drukarz, linotypista, p. Wiktor Maciejewski, przez 40 lat pracował w różnego rodzaju francuskich drukarniach, składając książki i gazety, nie tylko po francusku, ale i w kilku innych językach. Poznał równocześnie w ciągu tego czasu emigrację polską we Francji, zarówno jeżeli chodzi o jej wybitnych przedstawicieli, m. in. synów Adama Mickiewicza — Władysława i Józefa, jak i szarą brać wychodzącą, chwytającą się różnych robot, byle tylko utrzymać się na powierzchni życia, poznał jej dole i niedole, przygody, kłopoty, sprawy nigdy przez żadną historię nie zanotowane. P. Wiktor Maciejewski, obecnie na emeryturze, przystąpił do napisania swych wspomnień, które na pewno będą cennym przyczynkiem do dziejów polskiego wychodźstwa we Francji. Fragmenty tych wspomnień udostępnił p. Maciejewski do druku „Tygodnikowi Polskiemu”, zanim po ukończeniu pełny ich tekst ukaże się w wydaniu książkowym. (Red.)

DROGA DO KARIERY LINOTYPISTY

— *Świetnie! Jacqueline — powiedział do sekretarki — proszę wypłacić na podróż i tygodniową zaliczkę. A teraz — zwrócił się do mnie — życzę powodzenia i żegnania... „Jeszcze Polska nie zginęła” — powiedział po polsku, klepiąc mnie po ramieniu.*

Panna Jacqueline dała pieniądze, pokwitowała; napisała godzinę odjazdu i zdążyła powiedzieć, że jej „patron” jest znanym lingwistą mówiącym biegle czterema językami południowo-zachodniej Europy. Obiecałem, że powiem jej dzień dobry, gdy będę znów w Paryżu i ruszyłem... „na nowe”.

PITHIVIERS. Sympatyczne miasteczko w departamencie Loiret, które razem z prowincją La Beauce jest spichrzem przynajmniej Francji. Jakież 8.000 mieszkańców, fortyfikacje z XV wieku, miód, szafran, paszlet ze skowronków, ciastka migdałowe były tu dla turystów przyciągającym magnesem, a dla mnie Pithiviers stało się na przeszło rok miejscem zamieszkania i warsztatem pracy.

Urządziłem się szybko i dość wygodnie. Szef drukarni, pan Dion, średniego wzrostu, krucz włosy i ciemna cera południowca, znalazł mi tego samego popołudnia duży pokój przy *rue du Gâtinais* i zaprowadził do restauracji pod „*Cheval blanc*”, gdzie jadaliśmy obiady i kolacje. Mój szef przeżył piekło pierwszej wojny światowej pod Verdun; z rozczuleniem wspominał też oddział polski Bajończyków z pierwszego okresu wojny, który ich zmienił w okopach. Zachwycał się ich wyglądem, wysokim wzrostem i swobodnym zachowaniem, a łaska owego spotkania spływała teraz z kolei i na mnie.

W drukarni pracowało około dwudziestu osób. Na dole maszyny, na górze zecernia — obszerny i schludny lokal. Na razie jeden linotyp mieścił się w dużym pomieszczeniu obok. Materiał do składania był dość skomplikowany i żmudny, przeważnie dla *Związku Inżynierów Francuskich*. Dyrektor, sympatyczny i drobiazgowy, reprezentował typ Francuza opanowanego i umiejącego powagę łączyć z dobrym humorem. Jego syn, Jacques, pracował również na linotypie i szykował się do służby wojskowej; był on miłym szpiotem, ale i psotnikiem. Aha, dwa słowa o arcywymagającym starszym korektorze. Zalał on mi sporo sadła za skórę z powodu nieuwagi na brakujące znaki ortograficzne i zmuszał do poprawiania usterek w tekście autorów. Dzięki mu za to!

Pracowaliśmy na linotypie we trójkę na zmianę; ktoś przychodził z rana z „*L'Echo du Pithiviers*”; po południu Jacques, a mnie przydzielono nocny serwis, od 22 do 4 rano, „*aby się oswoić z pracą i lepiej zapoznać z maszyną*”. To „zapoznanie” kosztowało mnie, dzięki kawałom Jacquesa, sporo starganych nerwów, dużo odwagi i cierpliwości. Bo raz dzwignię przy kotle zostawił namiętnie opuszczoną, to znów koło obrotowe umieścić na niewłaściwym poziomie lub coś innego. Bywało, że o północy nie rozpoczynałem jeszcze pracy: kręciłem ręcznie maszyną, a ta zgrzytała, sprężyny łomotały, aż po długich poszukiwaniach udało mi się znaleźć przyczynę. Spocony, stawałem na głowie, aby wykonać minimum obowiązującej produkcji i wychodziłem chyłkiem z drukarni dopiero po 6 rano.

Ktoś powiedział, że życie to twarda szcztotka, trzeba się umieć obracać, bo inaczej skórę do

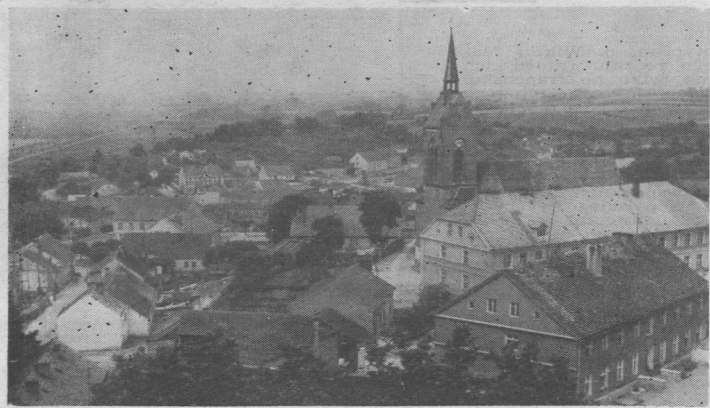
kości zetrze. Toteż na drugi dzień przychodziłem do pracy jakby nic się nie stało, ale przed rozpoczęciem zajęcia podnosiłem dzwignię, ustawiałem koło, sprawdzałem dokładnie wszystko, co na złość ustawione uniemożliwiałoby mi pracę. Naturalnie, w pierwszych dniach miałem chwile zwątpienia, ale bez zwątpienia nie ma pewności, a ta prowadzi dopiero do doskonałości, mawiał w szkole nasz instruktor. Wielkie też było moje zadowolenie, gdy po kilkunastu dniach odnalazł mnie w restauracji przy obiedzie wystaniec dyrektora i prosił, aby przyjść zaraz do drukarni, bo Jacques nie może sobie poradzić z dzielącymi słowa klinami, które źle spadają.

Bez wahania poprawiłem i wtedy dopiero wypowiedziałem mu kazanie o braku koleżeńskości dyscypliny, o jego bezmyślności i troski o całość maszyny. Chłopak, czerwony jak burak, ze łzami w oczach przeprosił mnie, a dyrektor z obiecaną podwyżką płacy powierzył mi opiekę nad maszyną.

Zakończę chyba przegląd mej galerii, gdy dopowiem, że po Jacquesie przybył do pracy bardzo szybki w składaniu *Marc*, który dziś jeszcze *produwadi w Paryżu* własne *biuro importowo-eksportowe*. Później znów, inny parzyżanin, *André*. Przyrostojny, dobrze zbudowany brunet, o regularnych rysach, korzystał dawniej ze swych zalet fizycznych i dorabiał sobie pozowaniem do zdjęć fotograficznych. Przy okazji pokazywał mi u siebie całe dziesiątki fotek w najrozmaitszych pozach i z różnymi partnerkami. Włosy na głowie stawały przy oglądaniu tych uciążliwych figur... Ciekawe: był żonaty ze starszą od siebie, skromną i spokojną urzędniczką pocztową. Mieli ładną ośmioletnią córeczkę. Ośmieliłem się kiedyś i pani *André* wspomniałem o tych akademickich zdjęciach męża. Ze śmiechem odpowiedziała mi, że oboje stosują zwykłą utartą metodę taty i mamy... Tamte dawniej... były tylko na eksport...

Po rozejrzeniu się w Pithiviers i po uporaniu się z pierwszymi kłopotami, zacząłem rozpytywać się o Polaków. W restauracji poinformowano mnie, że kiedyś pracowali wyłącznie w tutejszej cukrowni, ale zastąpiono ich Hiszpanami, bo Polacy, niezadowoleni z niedotrzymania umowy, urządzili pierwszy we Francji strajk okupacyjny, zwany tu *strajkiem polskim*. Z cudzoziemców poznałem najpierw dwóch Rosjan, z rosyjskiego korpusu, który w pierwszej wojnie walczył na francuskim froncie. Jeden z nich, wdowiec z trojgiem dzieci i służącą Czeszką, żył z naprawy obuwia. Drugi, żonaty z elegancką Francuzką, którą wdowiec nazywał złośliwie „*grafinią*”, posiadał z nią dom w rynku i sklep z obuwem. Odnajmowali oni pokój robotnikowi polskiemu imieniem *Władek*. Złośliwi mówili, że w tym bezdzietnym małżeństwie Władek uzupełniał trójką. On właśnie poznał mnie z dwoma innymi Polakami, którzy razem z nim pracowali u miejscowego ogrodnika. To były moje polskie znajomości w mieście, ale wkrótce rozszerzyły się na okolicę, bo w dzień targowy pomagałem gospodarzom dogadywać się z przybywającymi na kontrakt robotnikami rolnymi z Polski.

W następnym odcinku:
**TAJEMNICZA SPRAWA Z POLKĄ
na fermie w YEUVRE-le-CHÂTEL**



Cedyń, małe miasteczko w woj. szczecińskim, pamięta czasy jeszcze Mieszka I. Przez 10 wieków losy miasteczka były bardzo burzliwe. Do II wojny światowej należało ono do Niemiec. Podczas II wojny światowej Cedyń została w wielkiej części zburzona. Odbudowana w ostatnich latach stała się atrakcją turystyczną. Oprócz wykopalisk archeologicznych Cedyń posiada unikalny rezerwat ptaków.

Nowoczesna lokomotywa elektryczna z wrocławskiego „Pafawagu”

Ponad 700 lokomotyw elektrycznych dostarczył już polskim kolejom wrocławski „Pafawag”. Oprócz lokomotyw polskiej konstrukcji typu 3-E, o szybkości maksymalnej 100 km/godz., przystosowanych do ruchu osobowego i towarowego, fabryka produkuje również uniwersalne lokomotywy typu 4E. Maszyny te, budowane na licencji angielskiej, rozwijają szybkość 125 km/godz.

Ostatnio we wrocławskim „Pafawagu” zbudowany został prototyp nowej, polskiej, uniwersalnej lokomotywy elektrycznej według projektu Centralnego Biura Konstruk-

cji Przemysłu Taboru Kolejowego w Poznaniu. Nowa lokomotywa, oznaczona symbolem 201-E, o 6 osiach i 6 silnikach napędowych, rozwija również szybkość 125 km/godz. i może prowadzić składy pociągów o ciężarze 3150 ton, podczas gdy jej angielska poprzedniczka — pociągi o ciężarze 2 tys. ton. Nowoczesna opływowa sylwetka, doskonała widoczność z kabiny maszynisty, urządzenia do samoczynnego hamowania pociągu — to dalsze zalety nowej polskiej lokomotywy. Jej prototyp znajduje się obecnie w próbach w Centralnym Ośrodku Badań i Rozwoju

Remanent w lesie

Służba leśna przeprowadza co roku spis zwierząt żyjących w polskich lasach. Według ostatnich danych, najwięcej jest saren — ponad 200 tys., 54 tys. jeleni i 55 tys. dzików. Odhodowane zostało stado danieli, których jest ostatnio ponad 3 tys., oraz łosi — liczące obecnie ponad 700 sztuk. Mamy też kilkadziesiąt okazów rzadkich zwierząt górskich — muflonów. W myśl zasad racjonalnej hodowli do odstrzału przeznaczają się tylko coroczny przyrost liczby zwierząt oraz sztuki wyselekcjonowane.

W tym sezonie powinno trafić na stoły około 400 tys. zajęcy, 40 tys. bażantów i 28 tys. kuropatw.

Dziczyzna jest cennym przysmakiem na stołach. Za

eksport dziczyzny Polska uzyskuje ok. 9 mln zł. Eksportujemy również za granicę zwierzęta żywe, w tym około 75 tys. zajęcy. Za ten rodzaj eksportu otrzymujemy około 6 mln zł rocznie, a cała gospodarka łowiecka i hodowlana przynosi około 20 mln zł dochodu.

„Kobiece” nadleśnictwo w czołowiec

Na terenie Wybrzeża Gdańskiego kobiety kierują trzema nadleśnictwami: Świślino pow. Leborki, Wieżca na Pojezierzu Kaszubskim i w Kościerzynie. Praca ich daje duże efekty, świadczy o tym fakt, że trzy „kobiece” nadleśnictwa znajdują się w pierwszej piątce we współzawodnictwie wśród załóg Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Gdańsku.

Skarb pod Białobrzegami

300 unikalnych monet, w tym tynfy, trojaki, szóstaki, talary, dukaty i inne, ze srebra, złota, miedzi i niklu, zawiera skarb znaleziony przez pracownika Powiatowego Zarządu Dróg w Białobrzegach p. Krzysztofa Krzysztofska, a przekazany radomskiemu muzeum. Skarb znaleziono przy wycinaniu drzew przy drodze Białobrzegi — Radom. Robotnicy zlekceważyli początkowo znalezisko i dopiero przechodzące dzieci zainteresowały się bliżej bliznącymi krąkami. Kilka z nich zanosły nauczycielowi historii, który zaalarmował władze. Skarb w porę zabezpieczono. Same złote monety ważą ok. 45 dkg.

Laser dla biologów

Unikalne narzędzie badawcze o frapujących możliwościach przekazano do użytku naukowcom z Instytutu Me-

Skansen rybacki w Toruniu

W Toruniu powstać ma w niedalekiej przyszłości skansen rybacki. Urządzony zostanie w pobliżu Wisły, gdzie znajduje się wiele jeszcze domków drewnianych.

W skansenie znajdą się m. in. gromadzone już od ponad 20 lat w Toruńskim Muzeum Etnograficznym sprzęty i narzędzia, jakimi posługiwali się w dawnych wiekach rybacy.

Głównym elementem skansenu będzie chata rybacka wmontowana na pływającej na basenie ponton. Wokół niej urządzone zostanie autentyczny port rybacki o party na wzorach dawnego budownictwa. Przybywający do skansenu turyści oglądając będą mogli drażnić w drzewie łódzie, czółna i tratwy oraz barki z XIX w. Na terenie skansenu zbudowana zostanie kawiarnia, punkt informacyjny oraz kiosk z pamiątkami.

dycyny Lotniczej w Warszawie. Jest nim skonstruowana przez specjalistów z Wojskowej Akademii Technicznej aparatura laserowa do badań biologicznych.

Aparatura ta wytwarza wiązkę laserowego światła, która daje plamkę o średnicy zaledwie 2 mikronów — czyli 2-tysięcznych części milimetra. Tak ostrą igłą świetlną dokonywać można niezwykle finyzyjnych operacji nawet we wnętrzu pojedynczej komórki tkankowej, której wymiary są rzędu 10 mikronów.

Penetracja wnętrza żywej komórki promieniem laserowym umożliwia wywołanie w niej różnorodnych — ważnych i pożytecznych mutacji. Wiązka promieni laserowych służy więc biologowi jako doskonały instrument precyzyjnej chirurgii mikroskopowej, pozwalając na przykład przeprowadzać w celach badawczych mikropunkcje ciałek krwi. Otwiera to przed polskimi biologami zupełnie nowe perspektywy badań cytofizjologicznych.

Kąpiele solankowe w neolicie

Ludność zamieszkująca tereny dzisiejszych inowrocławskich solanek prawdopodobnie już przed 3 tysiącami lat znała i doceniała ich lecznicze właściwości. Być może stosowano nawet kąpiele solankowe. W okresie halstaczkim (700—400 przed n.e.) osadnicy zakładali siedziby jak najbliżej krawędzi

zbiorników wodnych, w które obfitowała południowa część strefy zdrojowej. Świadectwem długotrwałego okresu osiedlania się prainowrocławian w rejonie solanek są odkryte tu ślady domostw, konstrukcji ziemnych z licznym materiałem zabytkowym. Fragmenty glinianych form do odlewów brązowych szpil, bransolet i naszyjników pochodzą z końca epoki brązu.

Porcelanowe nowości

Chodzieskie Zakłady Porcelany i Porcelitu zostały opiekunem pawilonu, w którym wystawiono szkło i ceramikę na Targach Krajowych 69.

Chodzieskie Zakłady od wielu lat na każdych targach prezentują rzeczy oryginalne i bardzo ładne — dotyczy to zarówno galanterii ozdobnej i użytkowej, jak i porcelany stołowej. Okazuje się, że nie zawiodły i tym razem. W ostatnim czasie przygotowano w Chodziesku nowe tworzywo porcelanowe o lepszych parametrach. Wprowadzono także do produkcji nowe szkliwa na porcelit w czterech kolorach. Nowoczesne w kształcie i oryginalne w kolorze garnitury stołowe czy serwisy do kawy z porcelitu niezmiernie uatrakcyjniły te dotychczas nie doceniane wyroby.

Tygodniowa
GAWEDA

- ▲ Jeszcze o Tarnowie
- ▲ Zakochani w Sanoku
- ▲ Miastu na chwałę i pożytek

Pisałem ostatnio, moi mili, o moich wrażeniach z Tarnowa, a tu właśnie czytam w krakowskiej gazecie, że w Tarnowie odbędą się wkrótce wielkie uroczystości ku czci najwybitniejszego syna tej ziemi, generała Józefa Bema. Mija bowiem obecnie 175 lat od urodzin generała, który był bohaterem dwóch narodów, polskiego i węgierskiego. Oglądałem dom, w którym urodził się Bem, na tzw. Burku, mauzoleum Bema w parku miejskim według projektu Szyszko-Bohusza; 78 lat po śmierci generała, która nastąpiła w 1850 roku, sprowadzono jego proch do rodzinnego miasta i wybudowano mauzoleum. Bemowskie tradycje wolnościowe są w Tarnowie po dzień żywe, o czym mogłem się przekonać w rozmowach z zakochanymi w swoim mieście tarnowanami.

W ogóle bardzo pięknym zjawiskiem jest to, że na ogół wszędzie w Polsce, dokąd się przyjeżdża, znajduje się entuzjastów rodzinnej miejscowości, dumnych z jej uroków i zabytków, pracujących dla upiększania, uatrakcyjnienia i rozwoju najbliższego sobie skrawka ojczyzny. Na entuzjastów takich natknąłem się również w Sanoku, dokąd mnie dobre bogi zawiodły z Tarnowa. Panowie: doktor Edmund Stuszkiewicz oraz Stefan Stefański pochodzą ze starych tutejszych rodów; nic co sanockie nie jest im obce. Ojciec dr Stuszkiewicza był burmistrzem Sanoka, a jego syn już przed wojną wydał bardzo interesujący „Przewodnik po Sanoku i Ziemi Sanockiej”. Pan Stefański jest kustoszem skansenu, pięknie umiejscowionego po drugiej stronie Sanu, rozrastającego się wciąż i coraz częściej odwiedzanego. W skansenie tym zachowane są okazy ludowego budownictwa tej ziemi. Zwiędziałem tam między innymi ładniutką kurną chatę łemkowską, której najważniejszym elementem jest piec bez komina (dym uchodzi przez otwór w pułapie na strych, a stamtąd dymnikiem na zewnątrz), uroczą cerkiewkę, z naiwnym, lecz wielce sympatycznym wyposażeniem itd.

I Sanok, podobnie jak Tarnów, ma sporo „staroci” (jednak mniej, bo to i małe w po-

równaniu z Tarnowem miasteczko), natomiast położony jest pięknie na Podkarpaciu, tam gdzie kończy się Beskid, a zaczynają się Bieszczady — ostatnio coraz bardziej popularny w Kraju teren turystyczny, tak naturalny, że ze świecą szukać takiego drugiego w Europie. Pan Stuszkiewicz zapewnia nawet, że samiec jeleni o wieńcach z dwudziestoma końcami nie jest tu rzadkością! Myśliwi wiedzą, co to znaczy.

O turystów zaczyna się tu dbać coraz bardziej. Nowy hotel turystyczny w Sanoku jest mimo mikro-pokoików, ładnym i potrzebnym, choć — prawdę mówiąc — niezbyt dla turystycznej kieszeni tanim obiektem; „w terenie” nie ma jeszcze takich wygód, ale taniej.

Powiedzmy jednak parę słów o Sanoku — nie dla turystów, lecz dla sanoczan. Tu trzeba zacząć od dumy miasta, Sanockiej Fabryki Autobusów, które krążą nie tylko po Polsce, ale w różnych krajach świata i mają dobrą markę. Produkcja „Autosanu” wciąż wzrasta. Przewiduje się, że już wkrótce SFA będzie produkowała rocznie 3500 autobusów, 55.000 przyczep i 3000 furgonów, zaś pobliska fabryka przyczep w Zastawiu — 38 tys. różnych przyczep na potrzeby krajowe i eksportowe.

W ogóle — jak wszędzie — i tutejszy przemysł rozwija się burzliwie: zakłady przemysłu gumowego, drzewnego, zakłady mięsne, kopalnictwo gazu ziemnego, ceramika budowlana — to tylko niektóre działy tutejszej produkcji.

Bardzo dumni są sanoczanie ze sztucznego lodowiska, które wybudowali w czynnie społecznym; w ten sam sposób buduje się liczne boiska; dla turystów zamierza się wkrótce uruchomić wypożyczalnię sprzętu. Dla ducha: kapitalny remont Muzeum Historycznego, nowe szkoły, biblioteki, domy kultury itd. Znamy to, znamy z innych terenów, z całej Polski.

Pilnie sanoczanie pomagają w tych pracach. A wszystko to: „Sanokowi, rodzinnemu Miastu, na chwałę i pożytek”, jak napisał we wstępie do swego „Przewodnika” wspomniany dr Stuszkiewicz.

MARIAN

POLAK NA WESOŁO A PRZECIEŻ KIEŁBIE...

Na kiermaszu książkowym w trakcie Świątkożyzskich Dni Kultury podstuchano następujący dialog:

Klient: Czy ma pani „Kosmate nogi?”

Ekspedientka: Cóż pan sobie wyobraża? Ja nie mam czasu na żarty. Ja pracuję.

Klient: A może ma pani „Kiełbki we łbie?”

Tu ekspedientka poczuła się jeszcze bardziej obrażona. Transakcja doszła do skutku po wyjaśnieniu, że chodzi o książki St. Zielińskiego.

TCHÓRZLIWA?

W zatoczonym sandomierskim „okrągłaku” zgłodniały turysta prosi kelnerkę:

— Proszę mi podać to danie, które konsumuje ten pan siedzący przy sąsiednim stole.

— Obawiam się — odpowiada kelnerka — że ten pan nie da sobie tego zabrać!



Kierownik Domu Belgijsko-Polskiego p. Rogalski z małżonką wykładają polskie nowości wydawnicze



Uroczystość z okazji „Barburki”. Trzeci od lewej konsul gen. PRL w Brukseli p. Mieczysław Klimas



Podczas uroczystości „barburkowych” wystąpił zespół taneczny i chór ze Zwartbergu „Krakus”

DOM BELGIJSKO – POLSKI W LIÈGE

ośrodek promieniujący kulturą polską

ZYCIE CAŁEJ POLONII Liège, a nawet i Rodaków zamieszkałych w dalszych okolicach tego miasta, skupia się w Domu Belgijsko-Polskim w Liège. Mają tutaj swoją siedzibę liczne organizacje i związki, odbywa się tu wiele imprez kulturalnych. O tym, jaką rolę pełni **Dom Belgijsko-Polski**, świadczyć może fakt, że został on uznany przez władze belgijskie za zakład „wyższej użyteczności publicznej”.

Odwiedzającego Dom oczekuje duża sala klubowa z bufetem, ze sceną, z ekranem. Odbywają się w niej liczne spektakle, które ściągają tutaj nie tylko publiczność polską, ale również i belgijską: koncerty, odczyty, przedstawienia, wieczory baletowe, akademie. Osobny lokal przeznaczony na bibliotekę liczącą 4 tysiące tomów, wraz z czytelniami. Cieszy się ona również dużym powodzeniem. Około 400 osób korzysta z niej stale, wypożyczając regularnie książki. Oprócz nich pojawiają się czytelnicy sporadyczni, poszukujący jakiegoś dzieła. Biblioteka zaopatrzona jest w utwory klasyczne literatury polskiej, w literaturę współczesną i duży dział utworów polskich w tłumaczeniu na język francuski. Z działu tego korzysta około 50 czytelników belgijskich. Niektóre instytucje, jak np. Okręgowa Biblioteka w Liège, są w ścisłym kontakcie z Domem; dyrektor tej biblioteki zwraca się bardzo często o wypożyczenie książek polskich.

Centralna Rada Narodowa Polaków w Belgii, Okręgowa Rada Narodowa, Zrzeszenie Polaków, Związek Patriotów Polskich i inne organizacje korzystają często z dwóch salonów Domu przewidzianych na przyjęcia i zebrania. Stałą siedzibę znalazły tutaj, w pomieszczeniach na antresoli, biura Okręgowej Rady Narodowej. Przez 6 miesięcy w roku urzędują tu również reprezentanci biura podróży „Europa-Bus”, które organizuje pod

egidą Centralnej Rady Narodowej podróże autokarami do Polski w kooperacji z Państwową Komunikacją Samochodową. Raz w tygodniu przyjmuje tu również interesantów urzędnik delegowany przez Konsulat PRL.

Inną, bardzo pożyteczną również działalnością, której terenem jest Dom Belgijsko-Polski, są kursy języka polskiego dla dzieci i dorosłych, prowadzone przez kierownika Domu p. Eugeniusza Rogalskiego i jego małżonkę. Znalazł tu również punkt oparcia 23-osobowy zespół pieśni i tańca „Karolinka”, kierowany przez p. Alinę Okwiekę, który od 12 lat rozwija ożywioną działalność artystyczną na terenie całej Belgii.

Przechodzącego do Domu Belgijsko-Polskiego oczekuje również telewizor, szafa grająca, fortepian, bilard, a nierzadko i ciekawa wystawa, jak np. zorganizowana w ostatnich miesiącach ekspozycja pod nazwą „Dni oświaty i kultury”. Bywalcy Domu bardzo mile wspominają udaną zabawę majową, która odbyła się tutaj w czasie Zielonych Świąt z inicjatywy Okręgowej Rady Narodowej oraz Zrzeszenia Polaków w Belgii. Całkowity dochód z tej zabawy przeznaczono na fundusz budowy Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. W związku z obchodami Międzynarodowego Dnia Dziecka odbyła się tutaj również bardzo miła impreza przeznaczona dla dzieci. Złożyły się na nią polskie filmy krótkometrażowe oraz atrakcyjne, bardzo wesołe konkursy na temat polskich bajek ludowych.

Jeszcze jedną, również dla dzieci zorganizowaną uroczystością w Domu Belgijsko-Polskim było zakończenie roku szkolnego 1968—69. Główną częścią programu tej uroczystości były występy teatru amatorskiego „Bajka” prowadzonego przez pp. Urszulę i Eugeniusza Rogalskich. Wielkim aplauzem publiczności cieszyło się przedstawienie „Żywe miasta” — montaż polskich melodii, wier-

szy, tańców. Inscenizacja bajki La Fontaine'a, różne gry i konkursy „zgaduj-zgadula” dopełniły obfity program tego wieczoru. Dla dorosłych przewidziano konkurs na temat kultury polskiej i turystyki. Po rozdaniu dzieciom świadectw szkolnych odbyło się przyjęcie.

Dla bilardzistów uczęszczających do Domu zorganizowano konkurs, w którym p. Stanisław Malesszak zdobył tytuł mistrza bilardu stołowego 1968/69.

Jakie są plany Domu Belgijsko-Polskiego na przyszłość?

W nadchodzącym sezonie zarząd pragnąłby rozszerzyć jeszcze bardziej współpracę i kontakty ze społeczeństwem belgijskim Liège. Dopomóc do tego może Association Belgo-Polonoise, najstarsza tego typu organizacja w Belgii. Ma ona w swym dorobku wiele osiągnięć jeszcze z okresu, kiedy prezesem jej był p. Jules Bosmant — dyrektor muzeum, obecny prezes honorowy Association Belgo-Polonoise. Obecny prezes, p. Jules Raskin — deputowany do parlamentu departamentalnego, opracował wraz z zarządem stowarzyszenia bardzo bogaty i urozmaicony plan działalności. Projektuje się szersze niż dotąd wyjście Domu na zewnątrz poprzez wypożyczanie filmów polskich, przezroczy, kontakty z Foyer International des Etudiants, częstsze organizowanie wystaw, spektakli, występów zespołu „Karolinka”, urządzenie seansów filmowych dla młodzieży szkolnej połączonych z konkursami.

Oprócz filmów Dom Belgijsko-Polski może dostarczać instytucjom i stowarzyszeniom materiały informacyjne i dokumentację o Polsce. Dyrektor Centrum Kultury Francuskiej i kierownik sekcji młodzieżowej tego Centrum p. inż. Jarosław Bortynowski w oparciu o materiały otrzymane z Domu Belgijsko-Polskiego mówił w swej instytucji o domach kultury w Polsce. Dom współdziała również z organizacją „Pour le progrès social”, zajmującą się życiem imigrantów w Belgii.

Tego rodzaju kontakty chce właśnie zarząd Domu wraz z zarządem Association Belgo-Polonoise znacznie rozszerzyć. Pole działania jest bardzo rozległe. Warto współpracować z organizatorami wycieczek turystycznych do Polski, z radiostacją w Liège, która nadaje co tydzień (we wtorki) 15—20-minutową audycję dla Polaków w języku polskim i której dyrekcja przejawia bardzo życzliwy stosunek do naszych Rodaków. Równie miłe stosunki nawiązane zostały z dziennikiem lokalnym „La Wallonie”, który regularnie informuje swych czytelników w obszernych sprawozdaniach o działalności Domu.

Role do spełnienia będzie również w dalszym ciągu propagowanie polskich imprez, jak np. występów Opery Poznańskiej, na które sprzedawano bilety, utrzymywanie kontaktów ze stażystami polskimi, dostarczanie wszystkim zainteresowanym płyt i nagrań na taśmach muzyki polskiej, wyrobów ludowych CEPELII itp., itp.

Obecnie trwają jeszcze wakacje, ale już za parę tygodni La Maison Belgo-Polonoise w Liège rozbrzmiewać znów będzie głosami licznych bywalców, a także — miejmy nadzieję — dzięki ustaleniemu planowi zwiększonej działalności promieniować będzie nadal kulturą polską na coraz szerszym terenie.

(G)

25-LECIE POWSTANIA ZWIĄZKU PATRIOTÓW POLSKICH

We wrześniu bieżącego roku mija 25 lat od wznowienia na wyzwolonych terenach Belgii społecznej działalności Polonii.

Pod koniec września 1944 r., mimo toczących się jeszcze działań wojennych, doszło do pierwszego zjazdu Związku Patriotów Polskich, który stał się pełnoprawnym reprezentantem Polonii robotniczej w Belgii. Zadań było wtedy wiele. Trzeba było udzielić pomocy rodzinom szczególnie poszkodowanym przez wojnę, zaopiekować się losem polskich jeńców wojennych, zebrać fundusze, zakupić i przekazać do Kraju sprzęt dla polskiego górnictwa.

W 25 rocznicę powstania Związku Patriotów Polskich spotkają się znów, po wielu latach, zasłużeni działacze, którzy organizowali wtedy życie społeczne i nim kierowali. Miłe to będzie spotkanie. Odbędzie się ono w Domu Belgijsko-Polskim w Liège, w sobotę, dnia 20 września br.

Obok zamieszczamy zdjęcia z początków działalności Związku Patriotów Polskich, które po latach będą dla wielu działaczy niewątpliwie wzruszającym wspomnieniem.

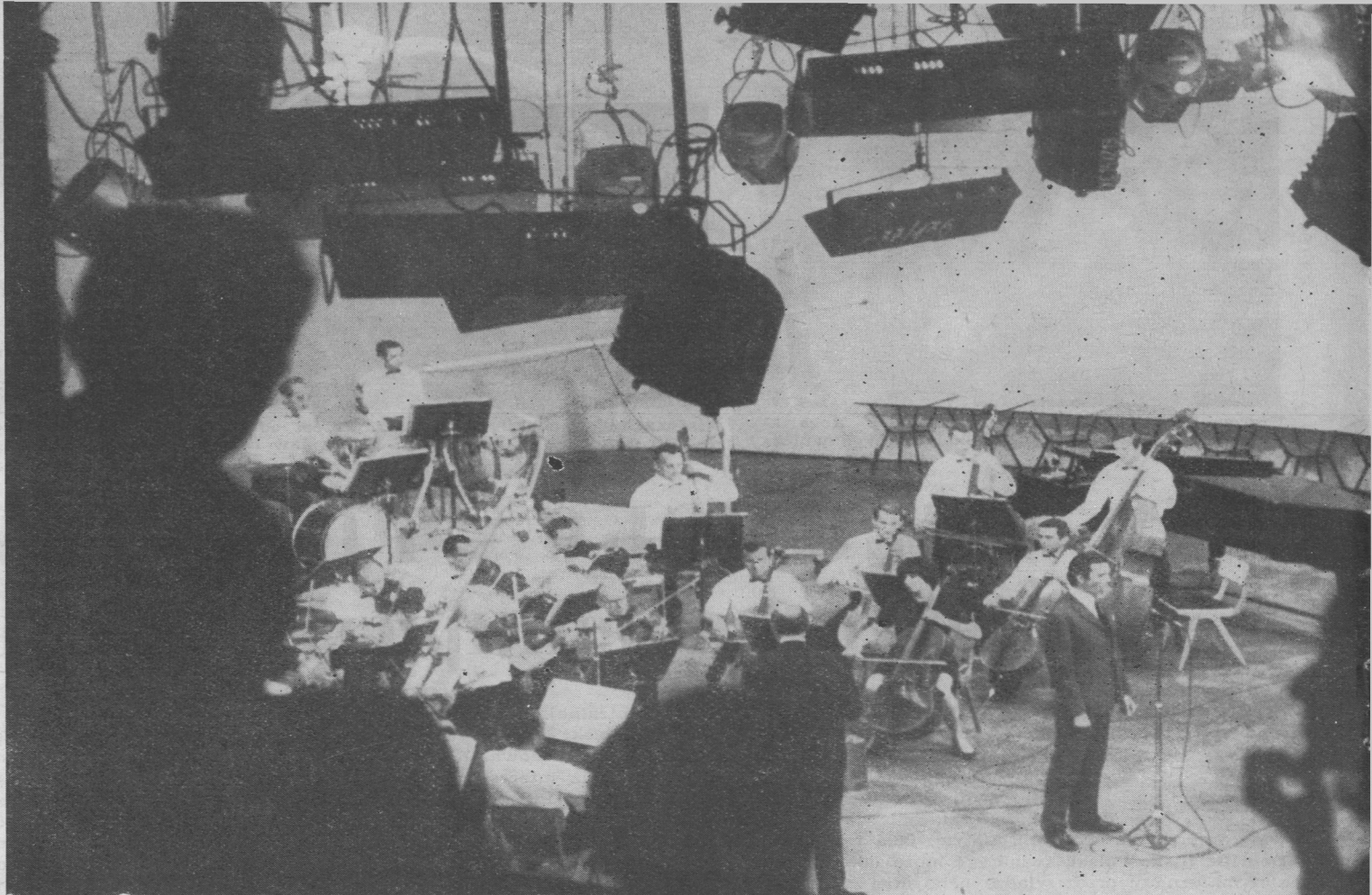


PEU DE GENS savent que les origines de la télévision polonaise remontent à 1929, date à laquelle fut présenté à la Foire Nationale de Poznań le premier téléviseur polonais. Cependant, comme dans nombre de pays européens, elle ne fit ses premiers pas qu'au moment qui précéda la Seconde Guerre mondiale. Un émetteur expérimental fut alors installé sur l'édifice le plus élevé de Varsovie — le „Prudential” — aujourd'hui hôtel „Warszawa”. Les balbutiements de l'enfant de cette nouvelle muse furent assourdis par l'éclatement des bombes tombant sur la capitale.

Le pays ravagé avait nombre de problèmes urgents à résoudre à l'issue des hostilités et ce n'est qu'en 1952 que furent posés les premiers jalons de la TV polonaise, oeuvre d'un petit groupe „d'enragés” du petit écran qui reprirent leurs recherches dès la guerre finie.

Partie avec un tel retard la TV polonaise n'en compte pas moins aujourd'hui des succès appréciables. L'importance qu'elle prenait dépassa les possibilités des studios de la place Powstańców. Il fut alors décidé en 1962 de construire un grand centre de TV à Varsovie. Il couvre aujourd'hui une superficie de 16 ha et ses édifices totalisent un volume de 370.000 m³.

Parallèlement à cet effort, des millions de téléviseurs sortirent des usines, et à l'heure actuelle on compte en Pologne 3.500.000 abonnés à la télévision. En raison de l'adoption par la Pologne du système SECAM les studios du nouveau centre ont été prévus pour la réalisation des programmes en couleur. Vous connaîtrez d'autres détails sur la télévision polonaise en lisant le présent article.



W Centrum jest 7 studiów telewizyjnych, w których nagrywane są równocześnie audycje do różnych programów. Nowoczesna

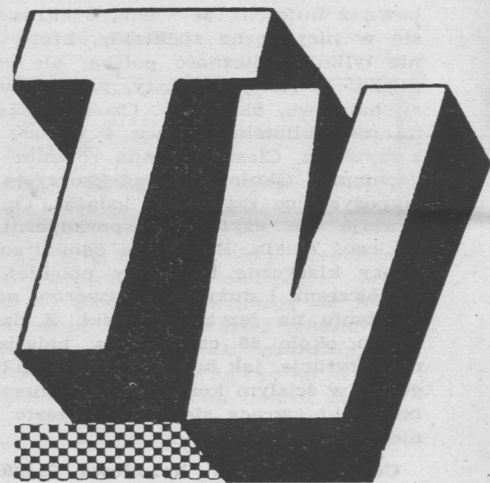


80% urządzeń nowego Centrum zostało wyprodukowane w polskich fabrykach. Ich jakość nie budzi zastrzeżeń użytkowników

W widowiskach estradowych może brać udział jednocześnie 250 wykonawców. Studio jest przestronne, nowoczesnie urządzone



NOWE CENTRUM POLSKIEJ



PRZEKAZANIE na odległość obrazu i dźwięku na falach eteru fascynowało ludzi na długo przed tym, nim telewizja z mgliawicowych wyobrażeń przetwarzała się zaczęła w kształt konkretny. Polscy naukowcy i konstruktorzy, idąc w ślad swoich kolegów z innych bardziej zainteresowanych nowoczesną techniką państw, już w końcu lat dwudziestych skonstruowali pierwszy odbiornik telewizyjny. Było to w roku 1929. (Tak w 1929 roku!) Na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu został ten pierwszy polski telewizor zaprezentowany. Poważnie przystąpiono jednak do prac konstrukcyjnych nad aparaturą telewizyjną w roku 1935. W tym też roku grupa polskich inżynierów pod kierunkiem Władysława Cytnera rozpoczęła pracę nad uruchomieniem nadajnika TV według licencji i dokumentacji znanej firmy Marconi. W dwa lata później zwiedzający Wystawę Radiową w Warszawie mogli oglądać kilka programów eksperymentalnych. W roku 1938 (!) powstała pierwsza polska Doświadczalna Stacja Telewizyjna, zainstalowana na najwyższym wówczas gmachu w Warszawie hotelu „Prudential” zwanym obecnie „Warszawa”. Przed wybuchem wojny gotowy był już pierwszy nadajnik o mocy 200 W. W jaskrawym świetle reflektorów grubo uszminekowani aktorzy występowali w mało skomplikowanych programach kameralnych, odbieranych przez niezmiernie szczupłe grono wtajemniczonych.

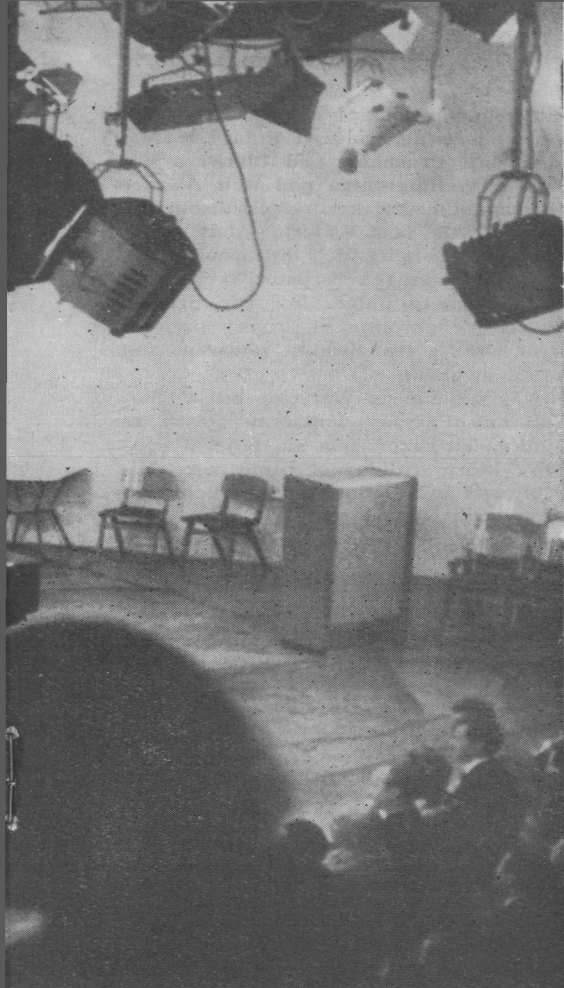
Wybuch wojny przerwał telewizyjne eksperymenty i przygotowania do przejścia na nowoczesną elektronową analizę obrazu. Aparatura uległa zniszczeniu, a pracownicy — fachowcy rozproszyli się po świecie.

Wkrótce po wyzwoleniu niewielka grupa ocalałych fanatyków telewizyjnych podjęła przerwane prace. Datą pretendującą do miana narodzin polskiej telewizji jest chyba rok 1952. Powołano wtedy mianowicie Zespół Badawczo-Redakcyjny dla spraw TV. Mimo więcej niż

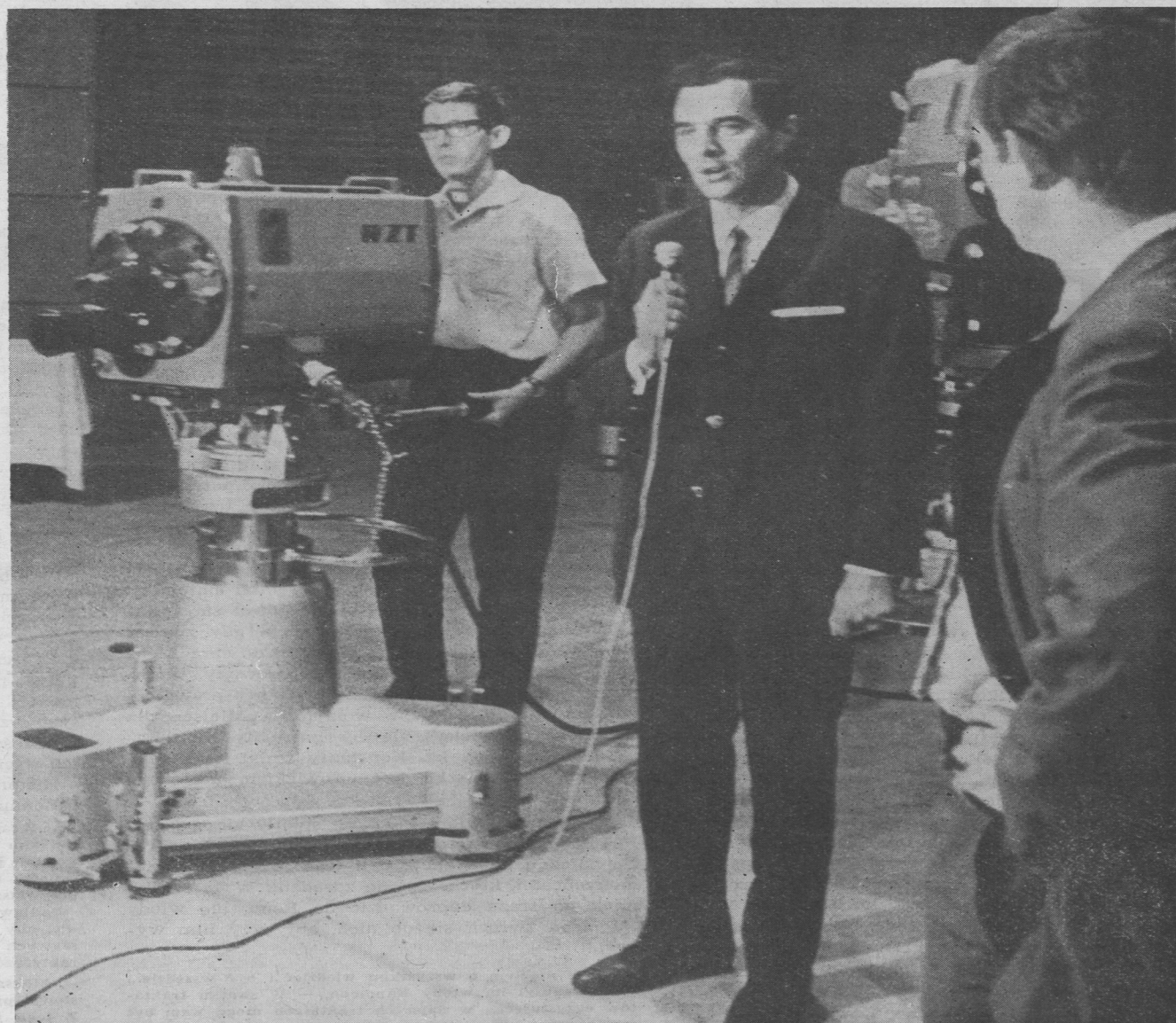
skromnych warunków, dosłownie na 10 m² powierzchni powstało pierwsze studio. Nadszedł wreszcie tak długo oczekiwany wielki moment pierwszego programu. Pamiętna ta data — 25 października 1952 roku — zapoczątkowała w Polsce erę telemanii. Chociaż programy nadawane były początkowo... co dwa tygodnie, szczytem marzeń i zabiegów każdego Polaka stało się posiadanie odbiornika telewizyjnego. Jedyne i bardzo trudno dostępne były odbiorniki zagraniczne.

Tymczasem polska telewizja rozwijała się, udoskonalała i krzepła. Program był coraz dłuższy, bardziej regularny, a i jakość nadawanych audycji bardziej wartościowa. W sukurs przyszedł wkrótce rodzimy przemysł. Powstała i bardzo szybko rozwinęła się produkcja polskich telewizorów, w krótkim czasie dorównujących nowoczesnością i jakością wielkim firmom zagranicznym. W zawrotnym tempie rosła ilość nabywców aparatów telewizyjnych, telewidzowie domagali się urozmaiconego programu: reportaży, transmisji sportowych, audycji kulturalnych, oświatowych i rozrywkowych. W ciągu ostatnich dziesięciu lat zbudowanych zostało w większych polskich miastach osiem nowoczesnych ośrodków, dysponujących 16 studiami telewizyjnymi i ośmioma wozami transmisyjnymi polskiej produkcji.

W stosunkowo najgorszych warunkach znalazła się telewizja warszawska. Ulokowana od początku w nie najlepiej przystosowanym do tego celu gmachu, mimo rozszerzenia programu, nie miała możliwości zwiększenia powierzchni użytkowej. Zagraniczni twórcy nie mogli często nadziei się, w jaki sposób powstają tak znakomite programy, np. teatralne, w tak prymitywnych warunkach! Lecz już od 1962 roku realizowany był projekt nowego Centrum telewizyjnego dla Warszawy. W sześć lat później przekazano do użytku pierwsze studia, a już wcześniej budynki administracyjne, gospodarce i techniczne. Krótco przed lipcowym świętem



Cisza w studio! Wkrótce zaczną pracować kamery, obraz pójdzie w świat. Telewizjowcy czekają z niecierpliwością

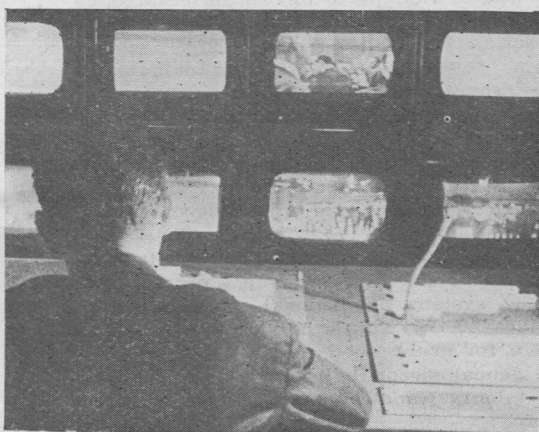


„Dobry wieczór Państwu” — z nowego Centrum po raz pierwszy przywitał telewizjowców spiker Andrzej Kozera

Reżyser światła to bardzo odpowiedzialna funkcja. Od pracowników reżyserii światła zależy jakość programu



aparatura gwarantuje znakomitą ich jakość



Reżyser wizji pracuje jak w laboratorium

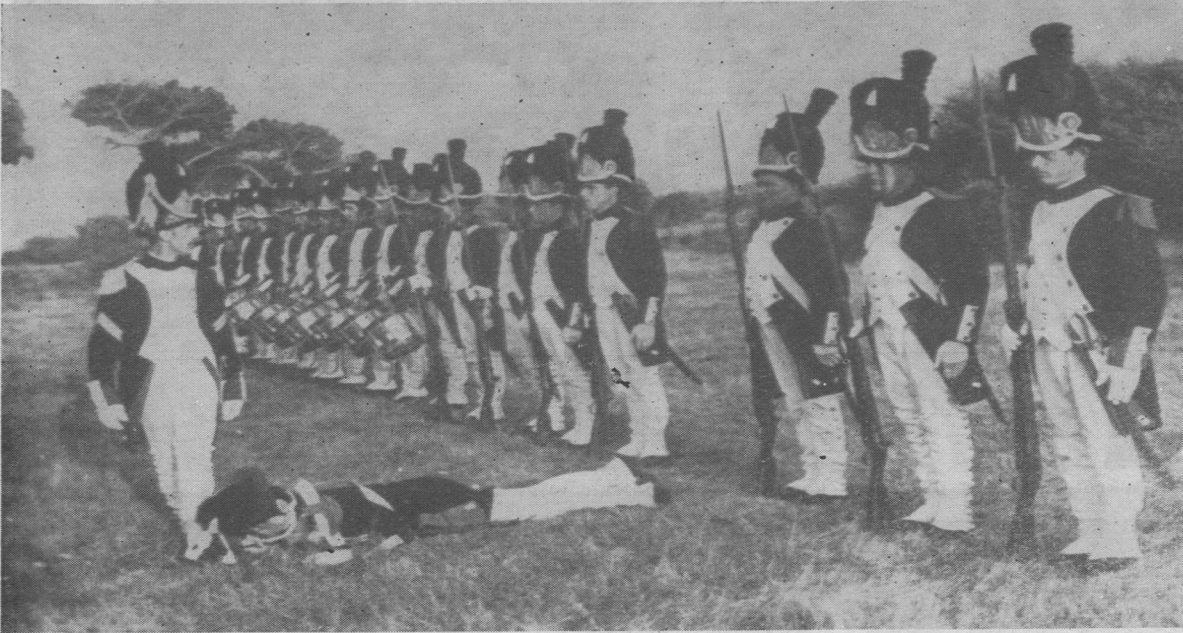
została zakończona budowa części telewizyjnej Centrum. Intensywne prace trwają nadal. Na nowe studia oczekuje teraz Polskie Radio.

Choć telewizja rozwija się w Europie już ponad 20 lat, wielkie centra TV zostały zbudowane dopiero w ostatnim okresie. Poprzednio, nawet w najbogatszych krajach, realizacja programu odbywała się w obiektach adaptowanych. Nowe centra TV to nie tylko ośrodki nowoczesnej techniki, ale również interesujące obiekty architektoniczne, istotne akcenty w krajobrazach wielu stolic europejskich. Warszawskie Centrum znalazło się w gronie czterech najnowocześniejszych, największych i najpiękniejszych spośród wszystkich w Europie wraz z moskiewskim, paryskim i londyńskim. Zbudowane zostało na 16 ha powierzchni, a ogólna jego kubatura wynosi 370.000 metrów sześciennych. Posiada 7 studiów TV, otrzyma jeszcze 15 radiowych, a ilość pracowników wyniesie do 1972 roku — 5 tysięcy osób. W studiach TV warszawskiego Centrum można już obecnie realizować najbardziej złożone widowiska artystyczne, nawet wielkie przedstawienia operowe z udziałem kilkuset wykonawców.

W miarę rozwoju polskiej TV projektanci przewidzieli możliwość uruchamiania dalszych kanałów i wyposażenia w aparaturę umożliwiającą realizację widowisk barwnych, poprzedzających wprowadzenie telewizji kolorowej.

Ta nowa, imponująca budowla stolicy, zaliczana do największych inwestycji w dziejach kultury polskiej, przeznaczona jest dla wielomilionowych odbiorców. Teraz, w siedemnastym roku działalności, Polska TV posiada przeszło 3,5 miliona abonentów, a w jej zasięgu znajduje się co drugi obywatel Polski. Telewizor, choć jest w powszechnym użyciu, bynajmniej Polakom nie spowszedniał, stanowiąc nadal ważny element w codziennym życiu.

Krystyna MAŃKOWSKA



W rodzinnej miejscowości Napoleona Ajaccio na Korsyce obchodzona jest uroczystość dwusetna rocznica jego urodzin. Na zdjęciu kompania honorowa w mundurach z okresu Napoleona. W czasie przeprowadzanych intensywnych prób jeden z gwiazdistów zemdlął pokonany przez straszliwy upał

Jerzy Wołczyński

ORZEŁ W LOCIE

UROCZYSTE obchody dwusetnej rocznicy urodzin Napoleona wywołują jakby konsternację u niektórych polskich publicystów w Kraju. Warto wobec tego zastanowić się, jakie byłyby losy Polaków, gdyby na arenie historii nie zjawiał się Napoleon?

U jego boku powstały przecież **legiony J. H. Dąbrowskiego**. Tam, na ziemi włoskiej zrodziła się nieśmiertelna pieśń, która jest do dziś polskim hymnem państwowym. Tam hartowały się szeregi dzielnych, którzy na swych bagnietach zachowali ideę państwa polskiego. Gdy mocarstwa rozbirowe raz na zawsze wykreśliły imię Polski, żołnierze Dąbrowskiego głosili „że jeszcze Polska nie zginęła”. Ci, którzy przyszedli do ojczyzny, stali się **kadrami wojska Księstwa Warszawskiego**. Małe to było Księstwo, ale jakież to władca spośród zaborców zamyślał o tym, aby obdarzyć choćby autonomią jedno polskie miasto, jedną polską wieś? Chłop polski dzięki Napoleonowi uzyskał chociaż częściową wolność osobistą i znalazł się pod opieką jego praw. Co było lepsze dla tego chłopca: iść na 25 lat do wojska carskiego i być tłuczonym kijami, czy też służyć w wojsku Księstwa Warszawskiego 6 lat, bez poniżenia, pod polską komendą, pod narodowymi znakami. A przecież żołnierze, którzy tę służbę chlubnie odbyli, mieli prawo głosu.

A może chłopom polskim lepiej odpowiadała służba przez kilkanaście lat w armii pruskiej lub austriackiej i słuchanie komendy niemieckiej?

Księstwo Warszawskie powiększyło swój obszar w 1809 r. w wyniku zwycięskiej wojny z Austrią, w której dowody wielkiego męstwa dał żołnierz polski i jego wodzowie. Był to rok powodzeń ks. Józefa Poniatowskiego. **Po upadku Napoleona już sprawy polskiej nie można było wykreślić**, jak to zrobiły zaborcze mocarstwa bezpośrednio po rozbiorach. Z okrojonego Księstwa Warszawskiego utworzono **Królestwo Polskie** podległe carowi. Zachowała się na 30 lat **Rzeczpospolita Krakowska** z polskim starodawnym uniwersytetem — po kampanii 1809 r. odniemczonym, zrepolonizowanym przez Hugona Kołłątaja.

Oczywiście o obszarze Księstwa Warszawskiego można dyskutować, ale kto w ówczesnych warunkach mógł dać Polakom więcej. Można też dyskutować o taktycznych pociągnięciach Napoleona wobec Aleksandra I w sprawie Księstwa Warszawskiego, o czym świadczą jego listy do cara przechowane w Krakowie, podważające w jakimś stopniu dobrą wolę Napoleona, ale przecież Księstwo Warszawskie było ostatecznie faktem.

Polska mowa, polska tradycja narodowa — dzięki istnieniu Księstwa Warszawskiego — na tyle zyskały silne oparcie, że mimo klęsk w późniejszych powstaniach naród polski nie zginął.

Najlepsi z ówczesnych Polaków rozumieli, iż mimo błędów, jakie popełnił cesarz Francuzów, możliwości Polski i Polaków były przy nim największe, a co ważniejsze — jedyne. Wiązali więc swój los z jego losem. Rację miał — co potwierdził bieg historii — J. H. Dąbrowski, gdy trwał przy Napoleonie. Rację miał też ks. Józef, gdy odparł pokusy porzucenia Napoleona w dniach jego klęski, odpowiadając: „**Dał nam możność służenia pod narodowymi znakami**”. Nie miał natomiast racji Tadeusz Kościuszko, gdy targował się z Napoleonem o sprawę polską, a potem gdy zwrócił się w czasie Kongresu Wiedeńskiego do cara Aleksandra. Był już zresztą stary i schorowany. Wprawdzie car i jego brat w ks. Konstanty prowadzili z atencją Kościuszkę wołając: „**Miejsce dla wielkiego człowieka**”, ale car postulat Kościuszki odrzucił, a w ks. Konstanty śmiał się potem, że „**pan Kościuszko jest człowiekiem umyślowo chorym**”.

Losy bardzo wielu Polaków splotyły się z osobą Napoleona niemal do ostatnich jego dni. W okresie najazdu na Francję byli jego jedynymi sprzymierzeńcami, którzy go nie zdradzili. W 1813 roku mieli go zrazu doprowadzić do Renu, ale wtedy Napoleon zwrócił się do nich, aby przy nim wytrwali:

„...Nie mogłem o wszystkim wiedzieć i być wszędzie... — oświadczył im wtedy Napoleon. — W skutku traktatów egzystujecie, w dalszych traktatach mogę wam być ten zapewnić, a jeślibym i tego nie zdołał, przynajmniej z bronią, z honorem i szacunkiem nieprzyjaciół wrócić do siebie.

Chciałem zawsze waszego istnienia, bom na wszystkich polach chwały we Włoszech, Egipcie, Hiszpanii i Niemczech widział przy sobie Polaków. Zawarłem był traktat z cesarzem austriackim, podług którego oddawałem Illirję za Galicję, którą do was przyłączyć chciałem. Gdybym był w chciał poświęcić, byłbym pokój zawarł w Dreźnie.

W najniebezpieczniejszych czasach żyłście nadzieją, gdybyście się jej dziś zrzekli, obwiniałoby was o lekkość i płochość naród i dzieje. Uważać was zawsze będę jako wojsko Księstwa Warszawskiego, jako Polaków sprzymierzeńców. Cały wasz rząd ze Stanisławem Potockim znajdziecie we Francji, a więc wszyscy będziecie razem reprezentować wasz naród. Będziecie w stosunkach z moim ministrem spraw zewnętrznych. Daję wam słowo, że po największych klęskach nie zapomnę o was w traktacie. Takie są moje rady”.

Trzeba przyznać, iż słowa dotrzymał. Nawet po abdykacji w Fontainebleau nie można było polskiej sprawie uznać za niebyłą. Gdy udał się na Elbę, zabrał ze sobą szwadron szwoleżerów polskich pod dowództwem Jerzmanowskiego. Wielu było chętnych wśród polskich szwoleżerów, których nazywał **najwaleczniejszymi wśród walecznych**, ale tylko niewielu mogło mu towarzyszyć. Wrócili oni do Francji w 1815, gdy Napoleon lądował z tysiącem żołnierzy, witany entuzjastycznie wśród przyłączających się wojsk doszedł do Paryża. „Orzeł leciał do Notre Dame”.

Ostatnie bitwy napoleońskiej epopei. I w nich to z chwałą nieśmiertelną walczyli Polacy, Szwoleżerowie polscy **bili Prusaków pod Ligny**, a na-
zajutrz walczyli z **Wellingtonem pod Bell Aliance** (folwark w Brabancji, 20 km od Brukseli). 18 czerwca 1815 w **bitwie pod Waterloo** dali pokaz waleczności miażdżąc angielskich huzarów. Brali też udział w wielogodzinnych rozpaczliwych szarżach, a gdy nadciągnęły dalsze korpusy pruskie i klęska stała się nieuchronna, ci, którzy przeżyli osłaniali odwrót wraz z francuskimi towarzyszami broni — ze starą gwardią.

Jeszcze w dwa tygodnie po Waterloo bili się bohatercko w obronie Paryża **lansjerzy polscy ze sławnego 7 pułku**. Tu zakończyła się bojowa epopeja lansjerów, którzy niejednokrotnie rozstrzygali o losach bitew i byli godni sławy najlepszych pułków starej gwardii Napoleona.

2 lipca 1815 r. pod Sevres **ostatni raz wystrzeliła broń lansjerów 7 pułku**. Ich koledzy, którzy w wyniku wydarzeń wojennych znaleźli się w Polsce — po pierwszej abdykacji Napoleona — zostali z **rozkazu wielkiego księcia Konstantego skazani na nędzę i żebranie**.

Z wielu swych ciężkich błędów zdał sobie Napoleon sprawę dopiero na wyspie św. Heleny. Niektórych błędów nie uświadomił sobie dostatecznie jasno do końca życia. Czy jednak znajdziemy w historii wielkości, które w ogóle ustrzeżyłyby się błędów?

Jeżeli uznalibyśmy, że Napoleon nie był genialny, to kogo w ogóle tym przymiotnikiem obdarzyć? W rzeczywistości był to niewątpliwie jeden z najzdolniejszych i najciekawszych ludzi, jacy zjawili się w historii świata i zawazyli na jej losach, mimo niewątpliwie ciężkich błędów popełnianych przez niego, które z biegiem lat narastały.

Sacha Guitry przedstawił w swym filmie kapitalną scenę. W niej to generał Bonaparte zwracał się do cesarza Napoleona z wyrzutem: „**Co ty zrobił z moją sławą?**” Niewątpliwie w dwa lata później, gdy konsul Bonaparte ogłosił się cesarzem Francuzów, rozpoczął się łańcuch jego błędów. W 1819 — na wyspie św. Heleny — Napoleon powiedział z żalem: „**Trzeba było iść z jakobinami**”. Jednakże w gruncie rzeczy do końca swego życia nie zdawał sobie sprawy z nieubłaganej nienawiści władców „z bożej łaski” do swej osoby. Sądził, iż to, że ich tak bardzo przewyższa, skłoni ich do uznania jego przewagi. Tymczasem było odwrotnie. Jego wyższość była dla legitymistycznych monarchów obelgą i zagrożeniem. Feudalni monarchowie lękali się go i nienawidzili. Władcy, którzy wyciskiwali swe ludy w imię „praw boskich” czuli, iż system napoleoński, niosący zdobywcze rewolucyjne, wywołuje niebezpieczny ferment i usuwa im grunt spod nóg. Wpatrzeni w swe drzewa genealogiczne byli przekonani o swej wyższości, a talenty Napoleona potęgowały jedynie ich wściekłość.

Historyk norweski **Kielland** trafnie powiedział o Bonapartem:

„...Wcale tego nie rozumiał, że gdyby był synem królewskim — bodaj tylko bękartem — władcy Europy, pokonani jego przewagą, byłiby mu a może także jego synowi udostępili miejsce w swym kole. Ale jemu, przywłaszczycielowi, synowi rewolucji — przegniły”.

Podjąwszy zamiśł wspólnej z Rosją wyprawę na Indie, aby zadać cios Anglii, poszedł Napoleon na lep fałszywych umizgów cara Aleksandra. Świetnie to scharakteryzował Kielland:

„Aleksander mógł być przejęty, oczarowany, a każde słowo przezeń wypowiedziane mogło też być szereze. Z tego jednak nie wynikało u niego nic, co mogłoby go zobowiązywać do czegookolwiek, a tym mniej skłonić do zmiany sądu o Napoleonie, lub do zapomnienia choćby na sekunde, że ten czarujący człowiek nie jest jednak nikim innym jak tylko korsykańskim awanturnikiem, który wie się Bonaparte, a na którego karku on, prawdziwy cesarz, któregoś dnia postawi swój but.”

Napoleon nie zdawał sobie sprawy, że od carskiego reżimu dzieli go nie tylko sprawa polska i blokada kontynentalna szkodząca szlachcie rosyjskiej w jej handlu z Anglią. Rosyjska szlachta nienawidziła systemu napoleońskiego, gdyż obawiała się zniesienia niewolnictwa chłopów. Nie brak było przecież w Rosji carskiej lansowanych wieści, iż Napoleon był synem Katarzyny II i że zniesie on pańszczyznę i handel chłopami. Za rozpowszechnianie tych wieści skazano w Petersburgu niejakiego Szełbakina.

W szczytym gronie osób towarzyszących Napoleonowi na wyspie św. Heleny znalazł się i Polak, młody porucznik Tatar-kiewicz. Był on świetnym konspiratorem — w ciągu dziesięciu miesięcy cztery razy zmieniał narodowość i nazwisko. Podróżował do Paryża, Londynu i Capetown. Współdziałał z hrabią Las Cases w misji zorganizowania ucieczki więźnia. Mimo ostrzeżeń Tatar-kiewicza, lekkomyślność syna hrabiego spowodowała ujawnienie spisku i deportację La Casesa i Tatar-kiewicza do kraju przyładowego (Przyładek Dobrej Nadziei). Tam jako zwolennicy Napoleona zostali przyjęci z entuzjazmem.

*) Patrz artykuł tegoż autora pod tym samym tytułem w numerze 35 z dn. 31.VIII.br.

NAPOLÉON AU MUSÉE VARSOVIEN DE L'ARMÉE

LE MUSÉE de l'Armée à Varsovie est situé non loin du viaduc aboutissant au pont Poniatowski, en bordure de l'avenue Jerozolimskie. Ses salles recèlent toute l'histoire des armes polonaises depuis le X-e siècle jusqu'à la seconde guerre mondiale. Nanti de patins de feutre aux pieds, j'ai suivi mon guide Monsieur Piotr Unger, historien et spécialiste de l'époque napoléonienne, avec lequel je me suis dirigé

giment de cavalerie légère de la Garde. Ce régiment était constitué uniquement de Polonais. Le Musée de l'Armée à Varsovie en possède plusieurs, notamment celui du général Wincenty Krasiński qui commandait ce régiment. La jaquette est bleu-marine avec parements de teinte amarante — assortiment de couleurs caractéristiques à l'époque en Pologne — avec sur les revers des broderies en fil d'argent et aux épaulettes des insignes de la Garde. Le couvre-chef est typi-

quement napoléonien et porte la cocarde tricolore. Tout à côté se trouve un uniforme de commandant d'un escadron, typiquement polonais, avec des broderies et des insignes de grade en vigueur dans l'armée française à l'époque. La chapska possède une plaquette représentant un demi-soleil surplombant la lettre „N”. Sur la poitrine de l'uniforme est épinglée une croix de la Légion d'honneur. Il est à mentionner à cette occasion qu'après la bataille de Tchew sur le littoral polonais livrée par les soldats de la Garde, Napoléon décora de la Légion d'honneur 14 soldats de l'Armée polonaise en formation. Hormis le général Dąbrowski et d'autres officiers, deux sous-officiers et un simple soldat reçurent la croix de la Légion d'honneur. C'était là la première fois qu'un simple soldat polonais venait de recevoir une distinction de cette importance. Ce fait qui fit grande impression à l'époque parmi les soldats était considéré comme une confirmation de l'application pratique du mot d'ordre de la révolution: „Liberté, égalité, fraternité”.

Je pose maintenant une question à Monsieur Unger pour lui demander quelques mots d'histoire sur ces uniformes anciens.

„Ils nous sont parvenus, c'est-à-dire au Musée de l'Armée, de différentes manières soit par des legs figurant aux testaments, soit par dons de particuliers. Par exemple, les uniformes de la cavalerie légère proviennent de la collection des descendants de Wincenty Krasiński. Hormis les uniformes nous avons ici notamment des sabres utilisés par la cavalerie de la Garde. Un détail caractéristique, à l'époque en Europe occidentale, donc en France également, cette arme était peu répandue et son usage se généralisa après Somosierra sous l'influence des Polonais qui servaient dans la Garde napoléonienne. Par ailleurs, l'origine des lanciers, corps constitué en France en 1801, provient des „ulani” dont l'armement était constitué d'un sabre et, comme son nom l'indique, d'une lance”.

Parmi les collections du Musée de l'Armée à Varsovie se trouve une selle de Napoléon qu'il utilisa pendant la campagne d'Égypte. C'est une selle légère de cuir genre oriental, recouverte de velours bleu saphir, avec lambris d'argent aujourd'hui terni, broderies sur l'appui et sur les fourreaux de pistolets. Cette selle faisait partie de la collection de Jan Henryk Dąbrowski qui fonda les Légions polonaises servant sous les ordres de Napoléon. Le général Dąbrowski en fit don



dans son testament à la Société Varsoviennne des Am's de la Science. Ce don ainsi que les armes de la collection qui lui appartenait constituèrent plus tard l'embryon du Musée varsovien de l'Armée. Il précisa dans son testament que cette collection devait être exposée en public pour que „chaque Polonais puisse la voir”.

Monsieur Unger me présenta aussi un document soigneusement enveloppé afin de le préserver de l'action de la lumière, qui de ce fait n'est pas exposé au public. Il s'agit d'un parchemin portant la signature de l'Empereur et confirmant le titre de baron à Chłopicki. Il est nanti d'un imposant sceau d'une quinzaine de centimètres de diamètre, de couleur orange, attaché au parchemin par un ruban. L'une des faces représente Napoléon sur le trône et l'autre les armes de l'Empereur des Français.

Ce document est l'une des rares pièces se trouvant en Pologne nantie de la signature de Napoléon I. Citons quelques bribes du texte qui par endroit est difficilement lisible:

„Par l'article 13 du I Statut du 1-er mars 1808 nous nous sommes réservés la faculté d'accorder les titres que nous jugerions convenables à ceux de nos sujets qui se seront distingués par des services rendus à l'Etat et à Nous. La connaissance que nous avons du zèle et de la fidélité que

notre cher et „amé” le Sieur Chłopicki de Meczynia a manifesté pour notre service, nous a déterminé à faire usage en sa faveur de cette disposition. Dans cette vue, nous avons par notre décret du 7 août 1810 nommé notre cher et „amé” le Sieur Chłopicki de Meczynia baron de notre Empire...”

Le texte assez long cite les témoins de ces lettres patentes. Au bas du document figurent deux signatures: à gauche du Prince archi-chancelier de l'Empire et à droite de Napoléon I ainsi que la date: mois de mai de l'An de grâce 1811.

Ce document a été remis au musée par les descendants de Chłopicki.

Au Musée de l'Armée à Varsovie on peut voir également un fourreau en argent d'un sabre ayant appartenu au prince Jozef Poniatowski qui fut le premier étranger à être nommé par Napoléon Marechal de France. Ce sabre, qui était un cadeau de ses collègues marechaux de France, est disparu pendant la seconde guerre mondiale, le fourreau seul est resté.

En quittant les salles du Musée de l'Armée j'ai croisé de nombreux groupes de visiteurs qui en cette période de l'année sont particulièrement nombreux. Environ un demi million de personnes le visitent chaque année.

Ludwik KADUCZEK



vers la partie se rapportant aux années à la charnière des XVIII-e et XIX-e siècles. Tout de suite après la forêt de piques terminées par des fers de faux, armes redoutables dans les mains des soldats-paysans de l'insurrection de Kościuszko (1794), je me suis trouvé en pleine époque napoléonienne.

C'est un miracle qu'après tant de tourments — après surtout la dernière guerre au cours de laquelle 27% des collections du Musée de l'Armée disparurent, détruites ou pillées par l'occupant — ait pu être reconstituée cette parcelle de l'histoire des armes polonaises intimement liée à celle de la France de Napoléon. L'exposition en question est une galerie d'uniformes et de drapeaux de régiments qui ont servi dans les armées de Napoléon I, d'objets se rapportant à sa personne, de documents signés de sa main.

Commençons par les uniformes qui portaient les officiers et les soldats polonais à l'époque. Bien que les ornements aient un peu terni, que les couleurs aient un peu pâli, leur état après tant de vicissitudes est encore bon. Je dois dire tout de suite que ces anciens uniformes, bien qu'ils soient ceux de l'armée de Napoléon, possèdent dans leur coupe un caractère polonais, à l'exception des couvre-chefs, des insignes de grade et des broderies.

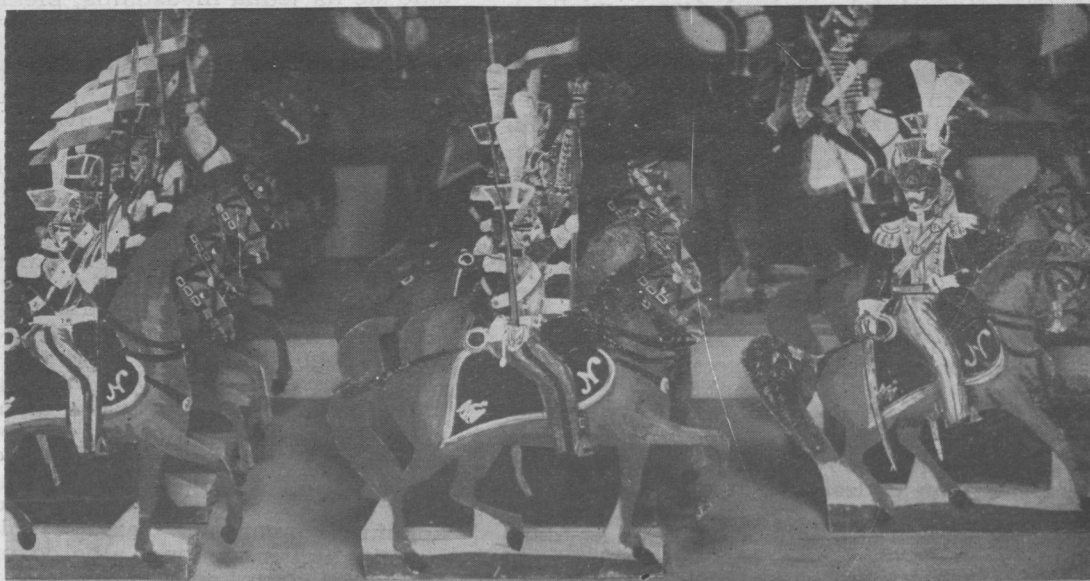
L'un des plus intéressants uniformes est celui qui fut porté par les soldats du ré-

giment de cavalerie légère de la Garde. Ce régiment était constitué uniquement de Polonais. Le Musée de l'Armée à Varsovie en possède plusieurs, notamment celui du général Wincenty Krasiński qui commandait ce régiment. La jaquette est bleu-marine avec parements de teinte amarante — assortiment de couleurs caractéristiques à l'époque en Pologne — avec sur les revers des broderies en fil d'argent et aux épaulettes des insignes de la Garde. Le couvre-chef est typi-

quement napoléonien et porte la cocarde tricolore. Tout à côté se trouve un uniforme de commandant d'un escadron, typiquement polonais, avec des broderies et des insignes de grade en vigueur dans l'armée française à l'époque. La chapska possède une plaquette représentant un demi-soleil surplombant la lettre „N”. Sur la poitrine de l'uniforme est épinglée une croix de la Légion d'honneur. Il est à mentionner à cette occasion qu'après la bataille de Tchew sur le littoral polonais livrée par les soldats de la Garde, Napoléon décora de la Légion d'honneur 14 soldats de l'Armée polonaise en formation. Hormis le général Dąbrowski et d'autres officiers, deux sous-officiers et un simple soldat reçurent la croix de la Légion d'honneur. C'était là la première fois qu'un simple soldat polonais venait de recevoir une distinction de cette importance. Ce fait qui fit grande impression à l'époque parmi les soldats était considéré comme une confirmation de l'application pratique du mot d'ordre de la révolution: „Liberté, égalité, fraternité”.

Un uniforme semblable au précédent se trouve à côté, c'est celui du commandant Koziatulski qui se rendit célèbre lors de la prise de Somosierra.

Au-dessus de nos têtes sont déployés des drapeaux portant des inscriptions en français. Je lis l'une d'elles: L'EMPEREUR NAPOLEON



Władysław Umiński

ZNOJNY CHLEB



W towarzystwie przygodnie poznanych młodych mężczyzn — Irlandczyka i Szkota, dwaj tułacz polscy Sobiesław Mrocki i Witold Grzymała spędzili noc. Początkowo uszczęśliwieni znalezieniem legowiska i schronienia, w miarę przebywania pod wspólnym dachem zaczęli się niepokoić. Nad ranem okazało się, że znajdują się w siedzibie ściganych przez policję rzeźmieszków. Mrocki i Grzymała znowu znaleźli się w kłopotliwej sytuacji.

Nieszczęsny los przesładował już niejednokrotnie polskich tułaczy na kontynencie amerykańskim, dokąd przybyli z Europy pełni nadziei i wiary w znalezienie właściwej pracy i domu. Niestety, zarówno na plantacjach kawy w gorącej Brazylii, jak i w Nowym Jorku czy innych stanach — nigdzie nie mogli znaleźć oparcia, uczciwych ludzi i możliwości pracy. Podejmowali już niejedną próbę, ciężko pracowali czy to na tartaku, czy w portach, czy jako kolporterzy — nigdzie jednak na dłuższy czas. Zawsze okazywało się, że czyha na nich wyzysk, zasadzki, nieuczciwość.

Co zrobią teraz, w Pittsburgu, z dala od Kraju, swych rodzin przebywających pod zaborami? O dalszych losach dowiemy się z odcinka zamieszczonego poniżej.

ODCINEK 35

ROZDZIAŁ V

PIEKIELNA PRACA

Nareszcie po miesięcznej poniewierce i nędzy szczęście uśmiechnęło się Mrockiemu i jego towarzyszowi. Dostali miejsce w stalowni, dokąd już od tak dawna pragnęli się wkroczyć.

Podobno roboty było dużo i postanowiono zwiększyć liczbę robotników. W tym celu polecono szwajcarowi, żeby wpuścił za wrota kilkudziesięciu ludzi z tego tłumu, który wystawał na zimnie i słońcu od niepamiętnych czasów i nigdy się nie zmniejszał. Między tymi szczęśliwcami, budzącymi zazdrość wśród setek współtowarzyszy niedoli, znajdowali się obaj nasi przyjaciele. Prowadzono ich do dozorczy przez kilka oddziałów stalowni.

Mrocki, który nie był nigdy w tego rodzaju zakładach, czuł się oszołomiony tym, co widział.

Najprzód ogłuszył go przeraźliwy łoskot. To wielkie młoty parowe, ważące po kilka tysięcy kilogramów, spadały na olbrzymie bryły stali, rozpalone do białości, i nadawały im potężnymi uderzeniami formę wielkich płyt albo wałów. Zaraz w sąsiedniej sali piły-cyrkularki, czyli obracające się z zawrotną szybkością kółka stalowe, krajały z niemilosierdnym zgrzytem, sypiąc tysiące iskier, długie szyny, jakby to były belki miękkiego drzewa. Małe wózki albo lokomotywki, ciągnące równie małe platformy, krzyżowały się co chwila na podłodze pokrytej szynami. Na tych platformach leżały bryły stali, podobne do wielkich żarzących się do białości węgli. Wieziono je do kuźni albo do walcowni z potężnych pieców, które co chwila otwierały swoje ogniste gardziele i wypluwały z nich kawały rozpalonego i świecącego metalu.

Potężne cęgi i lewary mechaniczne chwytaly te ogniste bryły i kładły je wprawnie, szybko na wagonikach. Trzeba było bardzo się wystrzeżać, żeby nie być przejechanym przez wagon pędzący szybko pośród uwijających się, na wpół nagich robotników. W dusznej atmosferze roilo się od iskier, które padały wszędzie, nawet na ciała brunatne i spalone. Nikt jednak nie zwracał na nie

uwagi. Mrocki przerażony oglądał się dookoła, zdawało mu się bowiem, że lada chwila padnie zmiażdżony albo okaleczony.

Grzymała pozostał w oddziale, gdzie walcowano wielkie bryły stali na blachy różnej grubości. Przyglądał się, jak wielkie wargi stalowe obracających się walców chwytaly bryłę stali. Bryła, wpuszczana w coraz to nowe wargi, ciśniejsze jedno od drugich, jęczała, robiła się coraz cieńsza, a za to coraz szersza i dłuższa. Nareszcie po wielu takich uściskach, spłaszczona, ale jeszcze czerwona, wychodziła niby olbrzymi język ognisty i pełzała po podłodze pokrytej czarnym pyłem. Maszyny chwytaly ją już zimną i nawijały na wielką rolę, a platformy zawoziły do składów.

W drugim końcu sali robiono szyny w ten sam sposób. Długi wąż z czerwonego żelaza pełzał po sali, a obok niego uwijali się robotnicy z cęgami w rękach; chwytali nimi węża i wpychali w nowe stalowe paszce, póki nie nabrał pożądanego długości i grubości. Ostatecznie maszyna ze zgrzytem krajała go i bryła zamieniała się na długie, ciężkie szyny, po których miały przebiegać z hukiem pospieszne pociągi.

Mrocki nie dostał jednak zajęcia razem z towarzyszem, wzięto go bowiem do oddziału wielkich pieców, gdzie topiono stal. W wielkiej długiej na paręset kroków sali stał cały rząd pieców, w których bulgotał z łoskotem ciekły metal. Kiedy otwierano drzwi, buchały z wnętrza takiego pieca światła różnokolorowe, które oślepiły nie przyzwyczajone oko. Strach było patrzeć na te masy ciekłego metalu, który czekał tylko odpowiedniej chwili, aby wydostać się z więzienia.

Od czasu do czasu wypuszczano go istotnie. Była to chwila straszna. Gardziel ognista otwierała się nagle i z niej wylewała się rzeka roztopionej stali rzucająca iskry na wszystkie strony, wrząca, ciężka i lśniąca tak, że robotnicy musieli patrzeć na nią przez ciemne okulary, żeby nie oślepnąć.

Ten strumień, wlewany z dźwiganych przez robotników tygli do wielkich form, zastęgał w wały do maszyn, osie, koła rozpedowe, cylindry i inne części maszyn.

Potem te odlewy stygły godzinami, a nawet dniami.

Mrocki pracował przy wyjmowaniu potężnymi parowymi żurawiami tych odlewów. Ładowano je następnie na wagoniki i oddawano młotom, które na potężnych kowadłach nadawały im jeszcze większą wytrzymałość i poprawiały niedokładności formy.

Przez kilka pierwszych dni Mrocki nie mógł oswoić się z tym piekłem, w którym się nagle znalazł.

Był jak we śnie, ogłupiony, ogłuszony, oślepiły. Musiał przy tym mieć się na baczności, żeby nie stracić życia przez nieuwagę albo nie ponieść kalectwa. Za taką piekielną pracą dostawał trzy dolary dziennie.

Sobiesław przez długi czas nie mógł się przyzwyczaić do hałasu, jaki panował w fabryce. Skrzyk żurawi dźwigających ciężary, gwizd, zgrzyt, turkot, huk, wszystko to składało się na jedną nieustanną, piekielną symfonię, od której puchły uszy i nerwy drżały jak w febrze.

Kilka dni chodził jak nieprzytomny, na wpół głuchy, dopiero po upływie jakiegoś tygodnia przestał zwracać uwagę na hałasy nieznosne. Robota jego była bardzo niebezpieczna. Kiedyś zdarzyło się, że stalowe łapy źle pochwytyły rozpaloną bryłę metalu czy też łańcuch się urwał, doświadczenia czterech żelaza czerwonego spadło na ziemię z wysokości kilku metrów. Cud istny, że nikogo nie przygniotło, bo mnóstwo ludzi uwijało się dokoła żurawia.

Człowiek istotnie może nawyknąć do wszystkiego. To, co go z początku napawała śmiertelną i słuszną trwogą, po kilku dniach przestaje mu się wydawać groźne; jeszcze później zaczyna patrzeć na niebezpieczeństwo obojętnie, a w końcu szydzi sobie z niego. Zupełnie tak samo było z Mrockim. Wiedział, jak straszna byłaby śmierć pod kołami lokomotywki ciągnącej platformę z bryłami stali rozpalonej albo od przygniecenia rozpalonym kawałem metalu. W tydzień

jednak po wstąpieniu do fabryki już nie zwracał uwagi na to, że olbrzymie ciężary zawisały co chwila nad jego głową i że mogły się oberwać jak tamten. Ledwie raczył się usuwać z drogi pociąg fabrycznym i nieraz musnęła go niemal bryła białej stali, ciągniona z hukiem do walcowni.

Mrocki wkrótce poznał stosunki panujące w stalowni i oburzało go wiele rzeczy, które zaczął spostrzegać.

Ostrzeżono go najprzód, żeby był w dobrych stosunkach z podmajstrzym, jeżeli nie chce stracić miejsca. Być w dobrej komitywie znaczyło tyle, co przepijać przynajmniej dziesięć część tygodniowego zarobku albo dawać co tydzień pół dolara. Tylko w ten sposób robotnik, najsumienniejszy zresztą, był pewien, że się do niego nie będą wtrącali niesłusznie za złe jakoby wykonywanie roboty.

Sobiesław, chociaż ze wstrętem, musiał się do tego zastosować. W oddziale Grzymała panowały zupełnie takie same zwyczaje. Obaj towarzysze niedoli zamieszkali znowu razem u pewnego Polaka, który wynajmował kąt do spania za dwa dolary miesięcznie. Ale teraz zarobek był niezły i można było pozwolić sobie nawet na większe i wygodniejsze mieszkanie; tylko sumienny Mrocki obawiał się wynajmować pokój w gospodzie, póki się nie upewni, że praca w stalowni jest stała.

Praca w fabryce była tak wyczerpująca, że na najgorszym nawet posłaniu sen kleił naszym dwu przyjaciółom powieki, zaledwie przyłożyli głowy do poduszki. Potem trzeba było o szóstej wstawać, pić lurę z żyta i żółędzi, którą uprzejmy rodak sprzedawał swoim lokatorom jako mokkę, i zjadłszy do tego kawał chleba z masłem, które nie miało nic wspólnego z krową, siadać do elektrycznego tramwaju i za kilka centów jechać do pracy. W stalowni odbywało się wszystko we wzorowym porządku; nawet ten porządek trochę był sztuczny i obliczony na krzywdę robotników. Na dziesięć minut przed siódmą już wszyscy musieli się znajdować na swoich miejscach, chociaż dzień roboczy liczono dopiero od siódmej; w ten sposób fabrykanci zyskiwali na każdym z ośmiu tysięcy robotników po dziesięć minut, co razem stanowi 80 tysięcy minut, albo, inaczej licząc, po dziesięć godzin dziennej pracy, 133 bezpłatnych dni roboczych po trzy dolary. Ponieważ gwizdawki oznajmiały wieczorem o dziesięć minut za późno zawieszenie robót, przeto właściciele zarabiali tą drogą 266 dni roboczych dziennie, to jest na pieniądze przeszło 800 dolarów.

Ale nie na tym koniec. Oznaczyli oni kary na spóźniających się. Kto na przykład przyszedł do pracy o pięć minut za późno, temu strącano za godzinę i tą drogą zbierała się codziennie równie pokaźna sumka. Robotnicy opowiadali sobie, że stolownia była w porozumieniu z zarządem tramwajów miejskich, który umyślnie wypuszczał rano niedostateczną liczbę wagonów, żeby robotnicy musieli się spóźniać.

Niezależnie od tego płacono, gdzie to było możliwe, od sztuki, i to marnie. Robotnik więc chcąc zarobić trzy dolary dziennie, co starczyło na bardzo skromne utrzymanie, musiał w szaleńczym tempie pracować przy piecach czy młotach.

W stalowni roilo się od postaci, które formalnie trzęsły się i rwały do pracy, nawet najniebezpieczniejszej. Prześcigali się oni wzajemnie, żeby więcej zrobić w ciągu godziny.

Ci robotnicy mimo woli pociągali przykładem towarzyszy, którym tak dalece nie chodziło o wysokość zarobku. Ale trudno przecieź ociągać się samemu, kiedy inni, od których się w pracy zależy, rzucają ci na ręce czynności, których niepodobna odłożyć nawet na sekundę pod grozą śmierci lub kalectwa.

Toteż Mrocki i Grzymała dostali się do istnego piekła i w pierwszych tygodniach czuli się tak dalece wyczerpani gorączkową pracą, że wracali do domu na chwiejących się nogach, bladzi, z oczami błędnymi, jakby wychodzili z domu wariatów.

Dalszy ciąg nastąpi

SZLACHETNE KAMIENIE BŁYSZCZA NA MORSKICH SZLAKACH MŁODZIEŻ POLSKA NA JACHTACH



„SZAFIR”, „SZMARAGD”, „AMETYST” — to nie tylko szlachetne kamienie, lecz w naszym przypadku — to nazwy typów jachtów pełnomorskich, produkowanych przez polskie stocznie w Gdańsku i Szczecinie. Oczywiście nie te wielkie stocznie, wypuszczające na morza olbrzymy handlowe lub rybackie, lecz wyspecjalizowane stocznie jachtowe, zatrudniające rzemieślników o złotych rękach, znających swój fach i od wielu dziesiątek lat zachowanych w tym, co robią. Nic dziwnego, że jachty o nazwach szlachetnych kamieni są popularne w świecie i pływają niemal po wszystkich morzach, rozsławiając, jak mówi formułka chrztu, „dzieło rąk polskiego stoczniońca”. Kupują je Amerykanie, Francuzi, Anglicy i Szwedzi, a więc kraje, które mają wielowiekowe tradycje w budowie statków i jednostek sportowych.

Nie zapominajmy jednak, że tradycje morskich wypraw nie są obce i polskim żeglarzom. Już przed wiekami wielki polski admirał, Krzysztof Arciszewski dotarł do Nowej Fundlandii, a Polak Joseph Conrad stał się największym angielskim marynistą. W

czasach znacznie nam bliższych wielkim wyczynem była wyprawa jachtu „Dal”, który przed samą wojną zwycięsko przemierzył wody Atlantyku. Ostatnio, w ciągu zaledwie kilku lat światowe kroniki morskich wyczynów odnotowały dwa kolejne osiągnięcia Polaków: wyprawę jachtu „Smiały” który opłynął Amerykę Południową, i podróż dookoła świata kapitana Leonida Teligi na jachcie „Opty”.

Te wszystkie wspaniałe przygody morskie działały na wyobraźnię polskiej młodzieży, która coraz liczniej garnie się do klubów żeglarskich. Nie każdy rzecz jasna może od razu pływać na morzu. Polska ma jednak dużo rzek i jezior. Z każdym rokiem przybywa na nich białych, a coraz częściej również różnokolorowych żagli. Żeglarsko przyzwią, bo przecież to nie tylko sport, lecz wspaniałe odpoczynki na wodzie, w ciszy, z dala od gwaru i hałasu współczesnych miast, wielkich fabryk i skupisk ludzkich, to bezpośredni kontakt z przyrodą i jej pięknem.

Na rzekach i jeziorach nie można oczywiście żeglować jachtami pełnomorskimi. Tu królować mogą łódzie typu „FINN”, „HORNET”, „OMEGA” i inne. Jest ich pod dostatkiem, ponieważ Wytwórnia Sprzętu Sportowego w Chojnicach osiągnęła światowy po-

ziom, produkując wszystkie typy łodzi regatowych i turystycznych według najnowszych technologii, zarówno z materiałów tradycyjnych, jak drewno, sklejka, forniry mahoniowe i cedrowe lub tak nowoczesnych jak poliestry i inne tworzywa sztuczne.

Młodzież polska lubi żeglować. Co więcej, umie ona żeglować bardzo dobrze. Przecież od roku 1966 polscy chłopcy zdobywają bez przerwy tytuły mistrzów świata w klasie „CADET”. Przed kilku dniami Zbigniew Kania i Konrad Fick, którzy w 1967 roku w Montrealu (Kanada) wywalczyli tytuł mistrzów świata w „Cadetach”, tym razem zostali mistrzami Europy w klasie „Hornet”.

Przepisy Międzynarodowej Federacji Żeglarskiej ograniczają wiek „cadeciary” do lat 17. Młodzi żeglarze warszawscy przekroczyli już ten wiek i przesiąść się musieli na bardziej „dorosłą” łódkę. Okazuje się jednak, że nie stracili na tym nic ze swych umiejętności i stanowią już „starą”, zgraną załogę.

Przy tej okazji warto zwrócić uwagę na pewną sprawę, która świadczy o wielkich zdolnościach polskich działaczy sportu żeglarskiego. Oto właśnie Polacy wymyślili i jako pierwsi wprowadzili w życie system szkolenia i przesiadania się zawodników z jednego typu łodzi na drugi. Przedszkolem jest mała łódeczka, nazwana „Optymistką”. Mogą na niej żeglować nawet dzieci w wieku dziesięciu lat. Z „Optymistki” następuje przesiadanie na „Cadeta”, który jest łodzią dwuosobową. Jak już wyżej wspominałem, po ukończeniu siedemnastu lat młodzie żeglarze przesiadają się na „dorosłe” typy łodzi. Ci, którzy wolą żagłówki jednoosobowe, wybierają sobie „OK Dinghy”, po której mogą przejść na „Finna”, klasę bardzo trudną, ale też i popularną. Nawiąsem mówiąc niedawno we włoskiej miejscowości Gargnano Piotr Skarbiński zdobył tytuł wicemistrza Europy juniorów w tej klasie. Ci, którzy wolą żeglować w składach wieloosobowych, przesiadają się z „Cadeta” na „Horneta”, który jest świetnym przygotowaniem do „FD” czyli „Latającego Holendra”.

Z satysfakcją stwierdzamy, że największe i najstarsze federacje międzynarodowe przyjęły i wprowadzają u siebie polski system szkolenia i przechodzenia zawodników z klasy do klasy.

Tym wyczerpujemy sprawę żeglarsstwa śródlądowego i ponownie wracamy na morskie szlaki. Na produkcji seryjnej jachtów morskich nie kończą się oczywiście osiągnięcia polskich stocznii. W czerwcu zwodowany został w Szczecinie jacht pełnomorski konstrukcji K. Michalskiego i R. Lange-
ra. Został on nazwany „Dar Szczecina”, gdyż zbudowano go ze śladek mieszkańców tego miasta.

Podczas regat Gryfa Szczecińskiego, rozegranych na dystansie 300 mi morskich, jacht ten w silnej konkurencji międzynarodowej zwyciężył w sposób tak zdecydowany, że trudno o podobne wyczyny w historii tych stosunkowo krótkich dystansów. Oto co mówi kapitan „Daru Szczecina” Jerzy Kraszewski:

— Załoga objęła jacht w posiadanie dopiero na 24 godziny przed startem. Po wejściu na pokład czuliśmy się jak w dżungli, gdyż jednostka ta ma niezwykle skomplikowane wyposażenie. Trzeba było zapoznać się z całym olinowaniem, składającym się z tysięcy różnych części, ożaglowaniem i innym wyposażeniem jachtu. Jeszcze przez pierwszą noc regat zapoznawaliśmy się z wszelkimi urządzeniami, gdy jednak poculiśmy się na pokładzie zadowolonymi, gdy zaczęliśmy rozumieć i czuć duszę naszego wspaniałego statku, bez trudu zgubiliśmy wszystkich naszych przeciwników. Po przybyciu na metę do Swinoujścia pierwszego z nich zobaczyliśmy dopiero po siedmiu godzinach od minięcia linii mety”.

Równie dobrze spał się drugi jacht tych samych konstruktorów, zbudowany także w Szczecińskiej Stoczni Jachtowej — „Enif”. Mniejszy od „Daru Szczecina” wyróżnia się również dobrymi właściwościami. Fachowcy żeglarscy są pełni uznania dla obu tych jednostek, których wysoki standard i zalety regatowe mogą za imponować żeglarzom każdego kraju. Jest to wielkie osiągnięcie szczecińskiej stoczni, która stara się nie tylko zaspokoić wymagania odbiorców zagranicznych, lecz także potrzeby polskiego żeglarsstwa regatowego.

Mając tak dobre jednostki polscy żeglarze morską myślą o startach w wielkich międzynarodowych regatach oceanicznych. „Enif”, gdy piszę te słowa, znajduje się w drodze do Anglii, gdzie uczestniczyć ma w regatach „Admiral's Cup”, zaś „Dar Szczecina” wystartuje w przyszłorocznych regatach bermudzkiej, których trasa prowadzi z Bermudów do Europy.

POLAK Z BELGII KIEROWNIKIEM KALIFORNIJSKIEJ WYPRAWY SPORTOWEJ

Panie Profesorze, czy można traktować naukowo siatkówkę (volleyball), jedną z najpopularniejszych gier sportowych?

Pytanie to zadaje p. Czesławowi WIELKIEMU, profesorowi wychowania fizycznego Uniwersytetu w Louvain, (Leuven) w Belgii, organizatorowi wielkiej wyprawy pod nazwą „European Physical Education Workshop 1969”. Rozpoczęła się ona 21 lipca br. w Anglii, a jej trasa prowadziła przez Belgię, NRD, Polskę, Związek Radziecki, Rumunię, Czechosłowację, gdzie 30 sierpnia wycieczkę rozwiązano. Uczestniczyło w niej 21 nauczycieli wychowania fizycznego z Kalifornii.

— Pani pytanie jest dość typowe — odpowiedział prof. Wielki. — Przywykliśmy do tego, że nauka wkracza we wszystkie dziedziny życia, ale ciągle nas dziwią jej interwencje w sprawach sportu. A jednocześnie nie można sobie już wyobrazić nowoczesnego wychowania bez ruchu, bez sportu, bez współzawodnictwa i życia w gromadzie.

Sprawami siatkówki zajmują się od lat. Przeprowadzaliśmy tysiące badań, analiz, obserwacji. Mówiąc językiem przystępnym — chodzi o to, że siatkówka w jej obecnym wydaniu jest dziś dla dzieci sportem zbyt trudnym. Siatka umieszczona jest za wysoko, piłka jest zbyt ciężka, przepisy gry nie pozwalają na stały ruch i element rywalizacji. Prowadzone przeze mnie obserwacje podbudowują słuszną twierdzenie, że przez ćwiczenia przygotowawcze, przez nauczanie poszczególnych elementów ruchowych — drogą zabawy — dzieci w wieku 8—10 lat mogą dojść do całkowitego opanowania techniki, osiągając w wieku lat 15—16 (gdy rozpoczyna się intensywny trening wyczynowy) niezbędny automatyzm ruchów.

— Jak doszło do tego, że profesor belgijskiego uniwersytetu, Polak z pochodzenia, organizuje podróż dla nauczycieli z Kalifornii?

— Przed kilku laty zaproszono mnie do Montrealu dla wygłoszenia cyklu wykładów pod wspólnym tytułem „Intégration de volleyball dans l'éducation physique”. Słuchacze — amerykańscy profesorowie wychowania fizycznego — zainteresowali się bardzo tym sportem, stosunkowo mało znanym za Atlantyką. Zaproponowali mi zorganizowanie dla nich pokazów praktycznych.

— I tak Polska znalazła się na trasie Pana podróży?...

— Po naszym pierwszym spotkaniu z amerykańskimi wykładowcami przed 2 laty w Louvain padła propozycja zorganizowania podróży studyjnej po Europie. Dla mnie, jako Polaka, było

zrozumiałe, że zawiozę ich do mojej Ojczyzny, tym bardziej że polska siatkówka stoi na bardzo wysokim poziomie. Zarówno siatkarki, jak siatkarze należą do ścisłej czołówki europejskiej.

— Jak organizował Pan podróż po Polsce?

— W ubiegłym roku przyjechałem do Warszawy wraz z synem, aby odwiedzić Akademię Wychowania Fizycznego, a następnie inne uczelnie tego typu w Polsce. Omawialiśmy z kierownictwem szczegóły programu, jaki mogłem zaproponować Amerykanom. Chciałbym podkreślić, że władze uczelni poszły mi bardzo na rękę i tylko dzięki temu udało mi się ułożyć tak atrakcyjny program. Ubiegłoroczny pobyt był zresztą kontynuacją wieloletnich kontaktów z Krajem. Na warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego wygłaszałem wykłady, a także odwiedziłem ją jako kierownik drużyny siatkarzy z Uniwersytetu w Louvain. W Belgii gościliśmy akademicką ekipę siatkarów z Polski.

Podczas pobytu w Polsce, tak samo zresztą jak w innych krajach, starałem się pokazywać uczestnikom wycieczki rzeczy najbardziej niezwykłe, tak pod względem zawodowym, jak i turystycznym.

— Cóż więc obejmował program pobytu w Polsce?

— Polska była krajem, w którym przebywaliśmy najdłużej, bo aż 10 dni. Czas wypełniały nam wykłady i zajęcia praktyczne na AWF oraz... nauka tańców regionalnych. Niech Pani żałuje, że nie widziała Pani moich Amerykanów tańczących krakowiaka!... Ćwiczyliśmy także jogę; mieliśmy wspaniałego instruktora, który swój kunszt zdobywał w Indiach. Zwiedziliśmy też Warszawę, Kraków i Kielce.

Osobnym rozdziałem była nasza wyprawa do Oświęcimia. Podkreślam, że inicjatywą zwiedzenia terenów byłego obozu śmierci wyszła od samych uczestników wycieczki. Z własnych pieniędzy zakupili wieniec, który złożyli pod ścianą śmierci przy blaku XI. Zwiedziliśmy obóz główny i obóz w Brzezince, oglądaliśmy filmy z pierwszych godzin wyzwolenia obozu w 1945 r. Pytania zadawane przez uczestników, ich skupiony nastrój i powaga, ogromne zakupy literatury informacyjnej — świadczyły o głębokim przeżyciu tej wizyty.

— A z przyjemniejszych wrażeń: co najbardziej utkwiło Wam w pamięci?

— Proszę pamiętać, że mamy do czynienia z Amerykanami, szczególnie wrażliwymi na spontaniczność kontak-

tów, serdeczność, naturalność. Ich wrażenia można by streścić w jednym zdaniu wypowiedzianym przez amerykańskiego kierownika wycieczki, p. Harolda Buffa: „Polacy to ludzie, wobec których nie można przejść obojętnie.” Świadczyło o tym pożegnanie na warszawskim lotnisku, kiedy to kilka uczestników wycieczki formalnie tonęło we łzach. Przy zwiedzaniu Warszawy zafascynowały ich kolosalne zmiany w krajobrazie miasta, które porównywali z obrazem Warszawy z 1945 r. z dokumentalnego filmu. Po wyjściu z tej projekcji jeden z Amerykanów powiedział zamyślny: „Teraz rozumiem, dlaczego Polacy są tak dumni ze swojej stolicy”...

A poza tym?... Furorę zrobili polskie tańce. Aby je dobrze zapamiętać, uczestnicy wycieczki tańczyli nawet na korytarzach hotelowych. Użnane zdobyli także polscy fryzjerzy i niektóre potrawy, na przykład nie znane w Ameryce kompoty i... befsztyk po tatarsku.

— A jakie pamiątki najchętniej kupowali?

— Prócz albumów, książek i wyrobów sztuki ludowej, którymi hojnie obdarowywali nas polscy gospodarze, każdy z uczestników otrzymał ode mnie na pamiątkę małą poduszkę w regionalne wzory. Ma ona zachęcać ich do regularnych ćwiczeń jogi, a zarazem będzie w dalekiej Kalifornii reklamą polskiego rękodzieła.

— Reklamuje Pan Polskę gdzie można i przy każdej okazji?...

— To, że pracuję i mieszkam teraz w Belgii, nie zmienia przecież faktu, że urodziłem się w Polsce, wychowałem w niej i wykształciłem, walczyłem z Niemcami w 1939 r. pod Piotrkowem. Potem dostałem się do niewoli, uciekłem i wreszcie z dwyjazą pancerną gen. Maczka wyzwałem Belgię. Tam też osiadłem, skończyłem studia, zrobiłem doktorat, ożeniłem się... słowem wrośłem w ten kraj. Ale Polska pozostaje dla mnie zawsze czymś bliskim i drogim.

— Kiedy więc znów wybierze się Pan do Polski?

— Moi Amerykanie przywieźli do Warszawy nasiona niezwykle szybko rosnącego drzewa, sekwoi. Przekazali je rektorowi Akademii Wychowania Fizycznego, prof. Wołoszynowi. Kiedy wyjeżdżał — ziarna już kiełkowały. Śmiały się, że musimy przyjechać niedługo, aby zobaczyć, jak rosną nasze sekwoje. Jeśli tylko pozwoli mi na to czas — wrócimy bardzo niedługo.

Rozmawiała: Janina PAŁĘCKA

Wacław KORYCKI

Les chanteurs chez nous

BERNARD CHABERT



Bernard Chabert, auteur-compositeur de 25 ans, arrive à la chanson par un chemin détourné. Il est né à Casablanca mais vécut en grande partie à Madagascar et se retrouva licencié en droit.

Mais quatre mois d'un stage d'information dans les bureaux américains d'Air-France confirmèrent à Bernard dans l'opinion, que s'occuper d'avions depuis un bureau manque totalement d'imprévu. Puisqu'il était aux Etats-Unis Bernard, en 1962, en profita pour voir le Mexique et le Canada.

En 1963 Bernard devient steward à bord des long-courriers qui desservent Extrême et Moyen-Orient.

En 1965, on le retrouve à Djibouti. Il y réussit à se faire engager comme pilote à tout faire sur une petite ligne intérieure. C'est l'année, où le général de Gaulle décide un voyage officiel en Côte Fran-

çaise des Somalis. Il sera, involontairement bien sûr, à l'origine d'une nouvelle carrière pour Bernard CHABERT, celle de journaliste. Il sympathise avec un reporter de l'AFP envoyé spécial pour le voyage du Général et l'aide dans son reportage. Il contracte, sans bien s'en rendre compte, le virus du journalisme.

Sur ce monde où les places sont chères, une seule porte s'ouvre, celle de l'OCORA (Office de Coopération de Radio-Télévision pour les pays d'Afrique). Bernard s'occupe d'aéronautique, de sports automobiles, ce qui lui plaît d'autant plus qu'il a le goût des sports risqués. Il dit: „Quand j'aurai assez d'argent, j'aurai une Lotus. Mais pas pour circuler à Paris, ici je préfère le métro ou les taxis. J'ai participé à des rallyes à Madagascar”.

A l'OCORA, Bernard se spécialise aussi dans les interviews éclair des personnalités politiques africaines qu'il accueille presque invariablement à leur descente

d'avion, au Bourget. Il reste neuf mois à l'OCORA. Le temps d'y rencontrer un preneur de son, fanatique de musique anglaise et de rythme. Avec lui, Bernard a gratté de la guitare et chanté. Quand le copain quitte l'Office pour entrer chez Pathé, Bernard ignore que sa vie va, une fois de plus, bifurquer: le copain se souvient si bien de Bernard Chabert, de sa guitare, des chansons qu'il préfère écrire en anglais, qu'il le fait auditionner. Après quoi, il ne reste plus à Bernard qu'à écrire en français. Qu'à cela ne tienne, Bernard écrit les quatre chansons de son premier disque („Tramway 7B”, „Der Jean”, „L'ascension sociale de Francis F”, „Il part en Californie”). Il a le don aigu de l'observation, une ironie tranquille, un sens neuf du son. Il est vrai que sans jamais penser en faire son métier, Bernard a toujours aimé les variétés. A Madagascar il avait ouvert une boîte avec des copains, c'était „L'Oeuf”. Les copains venaient y improviser du rythm and blues.

Plus jeune, quand il était un lycéen de 14 ans à Toulouse, il avait monté un groupe de yéyé. „J'ai oublié notre nom, mais nous nous étions inspirés des Shadows. Et nous étions passés deux fois dans l'émission de télévision de Mireille „Le Petit Conservatoire de la Chanson”.

Maintenant, devenu professionnel presque malgré lui, Bernard Chabert s'intéresse surtout au disque: „Plus que la scène, j'aime la technique, j'aime trouver des „couleurs de son”.

Mais toujours aussi curieux de ce qui qui l'entoure, Bernard n'a pas perdu le goût du reportage. Son rêve serait de repartir, loin, armé d'une caméra et accompagné d'un preneur de son.

En attendant, ses aventures sont plus terre à terre. Il a beaucoup de copains, Bernard Chabert, pas de fiancée, et un pied-à-terre sans tournedisques.

— Je n'ai pas vraiment d'idôles. J'aime Brassens, Brel, Bobby Gentry, Elvis Presley première manière et j'adore la musique malgache. En particulier, il y a un instrument „le Valhih” qui sur le plan du rythme est extraordinaire!

De son père, Bernard a hérité le goût des avions. De sa mère auteur de romans pour enfants („L'arc-en-ciel dans les rizières”), celui d'écrire: dans ses tiroirs il y a les manuscrits de deux romans. L'un de fiction politique, l'autre „Fadange” est une aventure d'espionnage entre les hommes, Dieu et les saints.

LE „GULIWIER”
VARSOVIEN
A SPA

Le Théâtre de poupée „Guliwier” de Varsovie a présenté au Festival International de Théâtres de Marionnettes à Spa en Belgique un spectacle de ballet intitulé „Messire Twardowski”, selon une oeuvre de Ludomir Różycki.

Cette pièce mise en scène par Monika Snarska avait déjà été présentée avec succès en Bulgarie, en Yougoslavie et en R. D. A.

WYMIENIAMY
KORESPONDENCJĘ

HELENE RIQUET — 1, cours Tolstoj, 69-Villeurbanne, (France) — recherche korespondentów w języku francuskim z 19-20-letnim Polakiem lub Polką z Kraju w celu wymiany poglądów.

BEATA STRZELCZYK — Poznań, ul. Pogodna 14 — poszukuje korespondentów z Francji i Belgii z którymi mogłaby wymienić widokówki i znaczki pocztowe. Interesuje się biologią. Może korespondować na różne tematy (16 lat).

JERZY CISZEWSKI — Zawiercie, ul. Armii Czerwonej 45 m. 1 — uczeń Liceum Ogólnokształcącego, ma 16 lat. Interesuje się biologią a w szczególności antropologią, poza tym muzyką i filatelistyką. Chętnie nawiąże korespondencję z koleżanką lub kolegą o podobnych zainteresowaniach.

ANNA ZYS — Lublin, ul. Nadbyszczyńska 25 m 31 — pisze do redakcji: „Jesteśmy młodzieżą uczącą się w szkołach średnich. Pragniemy nawiązać kontakt z młodzieżą polonijną w wieku od 16-18 lat, lub od 21 do 25 lat. Prosimy redakcję o madesłanie kilku adresów”. Adresów wprawdzie redakcja nie posiada, ale zamieszcza tę prośbę w TP. Mamy nadzieję, że znajdą się chętni i napiszą na adres p. Anny, dla Ewy, Wiesława i Adama.

RYSZARD KAPRAL — Częstochowa, ul. Aleja Wolności 16 — uczeń technikum samochodowego, chciałby nawiązać korespondencję z dziewczynką lub chłopcem w wieku 14-16 lat. Jego zainteresowania to wszystko co dotyczy motoryzacji, fotografii, filatelistyki i muzyki rozrywkowej. Oczekuje na listy.

MARIA DYLAŚ — Złotniki Kujawskie, Nowe Osiedle 44 m 1, powiat Inowrocław, woj. bydgoskie — ma 17 lat, uprawia sport, najbardziej lubi siatkówkę. Interesuje się historią, zbiera widokówki, płyty, książki i zdjęcia aktorów. Zna język francuski.

DANUTA OLESZCZUK — Zajączkowo, poczta Kobylnica, powiat Słupsk, woj. koszalińskie — pisze do redakcji: „Mam lat 23. Żyję w smutku i ośodosobieniu z powodu kalectwa, brak mi przyjaciół, więc piszę do Was, abyście w naszym pośrednictwie zdobyły przyjaciół i korespondować z nimi na różne tematy oraz wymienić płyty, widokówki, fotosy aktorów i zespołów młodzieżowych. Chętnie wyśle książki. Oczekuję z niecierpliwością na listy”.

ANDRZEJ DRAGUNOWICZ — Słupsk, ul. Mierostawskiego 6/3, woj. koszalińskie — pragnie korespondować z młodzieżą polonijną z Francji lub Belgii. Ma 19 lat i jest uczniem technikum samochodowego. Interesuje się sportem i wymianą kolorowych widokówek. Odpowie na każdy list.

JADWIGA IRACKA — Lublin, ul. Mełgiewska 7/9 blok 4 m 29 — ma 13 lat i bardzo chciałaby korespondować ze swoimi rówieśnikami z Francji lub Belgii. Zbiera widokówki, znaczki pocztowe i teksty piosenek. Z niecierpliwością oczekuje na listy.

JADWIGA ZIĘTEK — Lublin, ul. Mełgiewska 7/9, barak 6 m 3 — jest 13-letnią dziewczynką i bardzo chciałaby mieć kolegów wśród Polonii zagranicznej. Może wymienić znaczki pocztowe, nalepki hotelowe, widokówki, karty z kwiatkami i lalkami oraz teksty piosenek.

DOMINIK STANKOWSKI — Piotrków Trybunalski, ul. Szkolna 27 — chciałby korespondować z młodzieżą na temat historii starożytnej Grecji i Rzymu w języku francuskim lub rosyjskim, czeskim i polskim. Poza tym interesuje się muzyką poważną, sportem wodnym. Zbiera znaczki, widokówki i płyty.

ALICJA KOŁODZIEJSKA — Grodzisk Mazowiecki, ul. Montwiłła 71 m 35 — lat 18, uczennica technikum radiowego, interesuje się Francją i bardzo lubi język francuski, pragnie korespondować z młodzieżą polonijną. Chętnie zaprosi do Polski swoją ewentualną korespondentkę lub korespondenta.

RENATA KRAKOWIAK — Starogard Szczeciński, ul. Kraszewskiego 13 m 1 — pragnie nawiązać korespondencję z młodzieżą polonijną z Francji i Belgii. Ma 23 lata i interesuje się filmem, muzyką, turystyką i modą. Chętnie wymieni płyty oraz widokówki.

CECYLIA BUKRAJEWSKA — Szczecin, ul. Wojska Polskiego 34 m 5 — chętnie korespondowałaby z Rodakami z Francji i Belgii. Ma 21 lat, zna cztery języki: angielski, niemiecki, rosyjski i polski.

„J'AI PASSÉ DES VACANCES MERVEILLEUSES”
NOUS ÉCRIT MARIE-ANNICK SZTOR

Une de nos jeunes lectrices, Mlle Marie-Annick Sztor de Lille, nous a adressé une très intéressante lettre sur ses vacances passées en Pologne. Nous sommes persuadés qu'elle intéressera vivement tous les jeunes gens qui ont déjà participé aux colonies de vacances organisées par les Consuls de Pologne et qu'en même temps elle incitera peut-être les autres à s'intéresser à cette entreprise qui fournit une occasion extraordinaire de voir et connaître ce pays.

Mlle Sztor a 16 ans.

★

Par un temps gris et maussade, à l'aéroport de Lille, des jeunes gens et des jeunes filles montent dans le confortable avion polonais qui va les emmener dans la patrie de leurs pères. La plupart de ces jeunes sont peu rasurés, car ils prennent l'avion pour la première fois. Je suis de ceux-là. Nous volons à 7.000 mètres d'altitude à une vitesse moyenne de 650 kilomètres à l'heure. C'est impressionnant. Plus nous avançons vers l'est, plus il fait beau dans le ciel. Déjà, le soleil fait briller les ailes de notre grand oiseau argenté. Là-haut, nous découvrons un monde blanc, lumineux. Nous sommes en extase.

Les charmantes hôteses, une brune et une blonde, portent une jolie robe turquoise; elles nous offrent un déjeuner léger mais appétissant. Au bout de deux heures et trente minutes de vol, nous atterrissons à Kraków. Il y fait une chaleur étouffante. Nous regardons, avec curiosité, le paysage, les gens. Puis des groupes sont formés. Les filles devant séjourner à Bukowina Tatrzńska sont prises en charge par une dame très gentille, la directrice du camp, par une jeune monitrice et une infirmière très douce. Après avoir récupéré nos bagages, nous montons dans un autobus crème et bleu qui doit nous conduire à Bukowina, à 30 minutes environ de Zakopane. Le chauffeur a le teint bronzé, le visage ridé et des yeux d'un bleu intense. Son regard d'enfant me frappe.

On nous donne à manger, à boire.

A Kraków, on nous montre l'hôtel Cracovia, le château de Wawel qui domine la Vistule. Nous parlons, nous faisons connaissance. Les visages étonnés se tournent à droite, à gauche. Parfois ils règnent un silence profond, nous nous sentons en communion intime avec le pays de nos ancêtres, nous le contemplant avec émotion. Parfois, l'une de nous pousse une exclamation: „Oh, que c'est beau!” Une vieille dame, un fichu noir sur la tête, est assise avec son chien sur le bord de la route et nous regarde passer. D'élégants et fins chevaux tirent des chariots de bois. Des gens bronzés se promènent en maillot de bain dans les villages où les maisons sont de coquets chalets de bois.

Vers la fin de l'après-midi, nous arrivons à Bukowina. Des jeunes filles polonaises nous accueillent avec des bouquets de fleurs en chantant. On nous présente notre nouvelle habitation. C'est un spacieux chalet de bois entouré d'un petit parc où une biche „Tusia” se promène en liberté. Les chambres sont agréables: des dessins sont peints sur les murs. Nous mangeons sur des tables de quatre, ornées de fleurs, dans une grande salle où l'on peut également regarder la télévision. Dans notre camp, nous avons aussi des Canadiens et une fille des Etats-Unis.

Nous organisons des bals avec les garçons polonais, américains et français dont le camp se trouve à Zakopane, ainsi qu'avec des scouts polonais. Nous rencontrons deux fois les garçons chez „Janosik”, dans une sorte de petit cabaret avec un orchestre tzigane; l'ambiance y est très bonne.

Nous faisons des promenades en forêt, en montagne, nous cueillons de délicieuses myrtilles. Nous descendons un torrent en canot. Nous visitons Kraków et son château. Nous allons au fond de la fantastique mine de sel à Wieliczka. Une excursion nous conduit à Morskie Oko, le plus grand lac glaciaire de la Pologne. Le téléphérique, pris à Zakopane, nous dépose sur le Kasprowy Wierch. Pendant trois heures et demi, nous voyageons sur le Dunajec dans un radeau conduit par deux „Górale”. J'ai aussi la chance de passer quelques jours à Varsovie. Du trentième étage de la tour du Palais de la Culture, où nous logeons, je découvre un panorama splendide d'une ville neuve. Certains ont parlé de la résurrection de Varsovie et c'est le mot qui convient quand on sait que la ville a été presque complètement anéantie. Nous assistons, dans un théâtre magnifique, à une représentation de „Mazowsze”. Les costumes multicolores nous plongent dans une atmosphère irréelle, féérique. Hélas! les vacances ont toujours une fin et il nous faut quitter le petit village du bonheur, la directrice et le directeur qui s'occupaient tant de notre bien-être, les monitrices si sympathiques et les filles polonaises et américaines si gaies.

C'est par une matinée ensoleillée que nous prenons l'avion pour la France, le coeur triste et chargé de souvenirs. Nous jetons un dernier regard nostalgique sur la Pologne. Le beau rêve est terminé...

Maintenant, je n'ai qu'un seul souhait: retourner dans ce pays fascinant où j'ai passé di si merveilleuses vacances.

Tylko dla dziewcząt i kobiet Tylko dla dziewcząt i kobiet Tylko dla dziewcząt i kobiet

RADY

od serca

SZANOWNNA PANI ANNO!

Moje życie jest ciężkie, mam męża pijaka, co pije całe życie. Miałam z nim czworo dzieci, troje już żonaty, czwarty syn ma 25 lat, skończył szkołę, ale jeszcze nie był w wojsku, dopiero teraz ma iść. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że syn ma narzeczoną. Nigdy o niej mi nie mówił, tylko teraz napisał, żebym zrobiła dobry obiad, to przyjedzie z przyjaciółką. Przyjechali, ona była u mnie 15 dni. Skończyła tę samą szkołę co syn. Ale ma duże wady. Była chora na suchoty, jak miała 20 lat, teraz ma 23. Nie je mleka ani sera, ani masta tylko słoninę trzy razy na dzień. Jak skończy jeść, to zostawia wszystko i idzie do łóżka, bo zawsze jest zmęczona i do tego nerwowa. Mój syn kocha ją i ona jego. Ale on nie ma zamiaru teraz się żenić, ona nalega jednak, żeby urządzić już zaręczyny. Pytała nawet czy jej rodzice mogą do nas przyjechać, bo się jeszcze nie znamy. Ta dziewczyna jest jedynaczką, kapryśna, nam się nie podoba. Co więc mam robić, co odpowiedzieć, jak przyjąć jej rodziców? Boję się takiej synowej. Syn będzie miał z nią biedę, ona już teraz ciągnie, jak może, pieniądze od niego i chce, żeby jej zostawił coś jak pójdzie do wojska.

ZMARTWIONA

DROGA PANI!

Myślę, że nie powinna pani nabijać sobie głowy takimi sprawami. Syn jest dorosły. Nic nie pomogą pani interwencje i nic nie pomoże to, że pani nie podoba się synowa. Jeśli młodzi się kochają, to pobiorą się niezależnie od woli rodziców. Tak dziś jest i na to nie ma rady. Można starać się odkładać termin ślubu. Można skłaniać syna do rozważań, ale nie można zabronić. Rozumiem pani niepokój, bo przecież każda matka chciałaby dla swego dziecka, zwłaszcza dla tego najmłodszego, najlepszej żony i największego szczęścia. Ale co my, proszę pani, matki możemy wiedzieć? Nie zawsze przecież mamy rację w naszych obawach i przewidywaniach. Gdyby syn był młodszy, oczywiście, wówczas można próbować zakazu czy stosować inne sankcje. Ale jest 25-letnim samodzielnym, pracującym mężczyzną, cóż pani może zrobić? Proszę więc z góry się nie martwić, porządy nie są zachęcające, ale iaka ona jest naprawdę ta

kandydatka na synową, okazała się za parę lat.

ANNA

DROGA PANI ANNO!

Czy pani wierzy w przeznaczenie? Bo ja zaczynam wierzyć. Wierzę, że nie sędzone mi jest znaleźć kobietę, na której mógłbym polegać. Mam lat 28. Pięć razy byłem zakochany do szaleństwa, zdecydowany na wszystko, zdolny do wszystkich poświęceń. I pięć razy zostałem ośzukanym, zdradzonym, wystawionym do wiatru. To nic innego, jak jakieś złośliwe fatum. Niech pani nie myśli, że jestem kobieciarzem, że latam za spódniczkami. Przeciwnie. Jestem wyjątkowo stały w uczuciach i bardzo nieśmiały w stosunku do kobiet. Ale dlaczego właśnie ja zawsze muszę trafiać na takie typy, które chcą tylko wyciągnąć pieniądze, oszukać i ośmieszyć. Moje niedoszte towarzyski życia albo od razu miały równocześnie ze mną kilku innych mężczyzn, albo kazały sobie kupować drogie upominki, a gdy nie kupowałem, nie chciały na mnie patrzeć, albo po prostu po jakimś czasie oświadczały, że ja nie jestem dla nich żadną karierą. Rozumie pani chyba, że zniechęciłem się do kobiet i że już nieprędko będę myślał o małżeństwie. Czy nie jest to przeznaczenie? Czy może we mnie tkwi coś złego?

PECHOWIEC

DROGI PANIE!

Ja myślę, że rzeczywiście w panu tkwi coś złego. Naiwność mianowicie, łatwowierność, nieznajomość ludzi. Ufa pan wszystkim. Wyobrażam sobie te pańskie rozmowy z kobietami. Potrafią panu wszystko wmówić. Ze jest pan dla niej pierwszy, że żyje w nędzy, że nie ma się co ubrać, że marzy tylko o zaciszu domowym i takim mężu jak pan. Prawda, że tak było? A pan od razu wierzy, od razu płaci, od razu, co najgorsze — kocha. Tak nie można mówić. Za dorosły jest pan na taką naiwność. Trzeba patrzeć, obserwować, sprawdzić, a dopiero potem wyznawać miłość. Nie jest pan żadnym pechowcem, nie przesładuje pana żadne fatum, po prostu nie umie pan postępować z kobietami, a one o tym wiedzą i to wykorzystują. Moja rada — przez najbliższy rok nie zakochać się, nie proponować małżeństwa, nie kupować kosztownych prezentów, nie zapraszać na wykwintne kolacje. Kupić kwiatki, i bacznie obserwować. A kiedy następna kobieta będzie się panu bardzo podobała, proszę mi o niej napisać. Poradzę.

ANNA

FRANCUZKA W SŁUŻBIE POLSKI

ZARZĄD POLSKIEGO PENCKLUBU przyznał niedawno swą nagrodę Róży Bailly, poetce francuskiej. Nagroda ta ma wyróżniać pisarzy zagranicznych, szczególnie zasłużonych dla upowszechnienia i rozgłosu polskiej literatury. Rzadko kiedy za usługi te były większe niż w przypadku wszystkim nam drogiej Rose Bailly. Boy przypomniał przed wojną te sprawy kreśląc barwny portret „Różyczki”. Szkic ten znajduje się na czołowym miejscu zbioru pt. „W Sorbonie i gdzie indziej” (1927).

„Kiedy poznałem bliżej tę bardzo miłą kobietkę, w której oczach migoczą ogniki filuternej i śmiałej inteligencji, byłem oczywiście ciekawy dowiedzieć się, jakimi drogami ta rodowita Francuzka, nie związana żadnymi więzami z Polską, doszła do tego, aby się oddać misji, która pochłaniała wszystkie jej siły, która nadała bieg jej życiu i kazała jej żyć tylko Polską i dla Polski” — pisał Boy. Otóż pani Róża, abiturientka słynnej „Ecole Normale Supérieure” w Sèvres, będąc młodzieńką nauczycielką w Cahors przeczytała w dzienniku „Victoire” artykuł, obwiniający własnych rodaków — o niedocenianie sprawy polskiej. Artykuł ten poruszył wyobraźnię dziewczyny, która w młodości, podobnie jak Paul Cazin zaczytywała się filopolskimi powieściami pani Ségur i Aleksandra de la Motte. Młoda nauczycielka pisze wtedy do komitetu im. Mickiewicza i Micheleta w Paryżu, ofiarowując swą pomoc. W Cahors zakłada pismo „La Pologne”. Po paru latach tworzy „Różyczka” (tak ją nazwał Boy) — Towarzystwo Przyjaciół Polski, złożone z Francuzów. Towarzystwo to rozwija wielką działalność, szczególnie w okresie powstań śląskich i plebiscytów. Uzyskuje podpisy setek tysięcy Francuzów, opowiadających się za powrotem Śląska do Państwa Polskiego. Wywiera też silny wpływ na opinię, a nawet na decyzję Rady Czterech, gdzie przecież trzeba przełamać germanofilizm i ignorancję Llyod George’a. Rozwijała też Bailly i jej przyjaciele ogromnie żywą działalność w dziedzinie kulturalnej, kontrastującą (w pierwszych latach) ze „spokojną drzemką naszej propagandy urzędowej” (jak pisał Boy).

Przed kilku laty przysłała pani Rosa honorowe odznaki owego przedwojennego towarzystwa kilku polskim przyjaciołom. Także — i mnie. Przechowuję je ze wzruszeniem i czcią, jak najmiłsze pamiątki. To co zrobiło Towarzystwo jest kartą o wielkim znaczeniu. Ale nie koniec na tym. Rose Bailly przełożyła wiele polskich utworów, m. in. poezje i bajki Marii Konopnickiej, wiersze Kazimierza Tetmajera, Juliana Tuwima, Władysława Broniewskiego, Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, Stanisławy Kuszelewskiej. Napisała książkę „Au coeur de la Pologne” (1936), uwieńczoną przez Akademię Francuską, a także studium o urokach Krakowa. Jej staraniem ukazały się po francusku wybory pism Mic-



kiewiczza, Słowackiego, Fredry, Sieroszewskiego i innych. Nadchodzi rok 1939. Pani Bailly przygotowuje polską gramatykę, książkę pt. „Listy do Polaków”, wznowienie swej „Krótkiej historii polskiej” (którę pierwszą szkic powstał w 1916 roku), a także — „Historię polsko-francuskiej przyjaźni”. Publikuje Książki Boya, Mieczysława Lepeckiego i wielu innych polskich autorów. Wieść o zamordowaniu Boya przez hitlerowców jest wstrząsem dla Rose Bailly. Poświęca mu kilka artykułów, organizuje zebranie na Sorbonie (gdzie on przed kilku laty przemawiał). Konspiracyjnie pomaga Różyczka naszym uchodźcom i żołnierzom. Wydaje nielegalnie broszury na rzecz polskiej sprawy. Zbiera fundusze na polskie cele. Swym przyjaciółm, młodym studentom marokańskim, wszczepia miłość i sympatię do naszego Kraju.

Po wojnie, Rose Bailly wydaje tomiki wierszy poświęconych ukochanemu krajobrazowi Pirenejów. Ale tematy polskie raz po raz wracają w jej poematach. W 1961 Różyczka postanawia napisać obszernie dzieło o Warszawie i jej dziejach, przeznaczone dla Francuzów. Poświęca temu zadaniu siedem lat wyteżonych wysiłków. Kilkakrotnie do Warszawy przyjeżdża na dłuższe lub krótsze pobyty. Pozwala to rozszerzyć kręgi polskich przyjaciół, szczególnie młodych. Pani Bailly zdążyła zawsze przy tej okazji na cmentarz, by odnaleźć groby niezapomnianych polskich kolegów. Chodzi też stale do Łazienek, szczególnie jej drogich. Nie bez humoru mówi, że dopiero dzięki Polsce poznała telewizję i samolot. Większą część czasu spędza w bibliotekach, by zebrać materiały do swej „Histoire de Varsovie”.

Dzieło to zostało niedawno zakończone i ukaże się nakładem jednego z wielkich wydawnictw paryskich. Obejmuje okres do 1950 roku. Chodziło autorce o barwność, w myśl hasła drogiego Juliusza Micheleta: „Historia — to zmartwychpowstanie”. Oczywiście, sprawy warszawskie zostały przez Rose Bailly umieszczone na tle dziejów całej Polski. Pełną pomocą były prace Libiszewskiej o małżonce dwóch Wazów, królowej Marii Ludwice Gonzadze, Stanisława Szenica o warszawskich paradach wojskowych, Karoliny Beylin o życiu naszej stolicy w XIX wieku, Stanisława Lorentza o polskich muzeach, Lecha Dunina o katedrze, i innych.

„Przeżyłam siedem lat w Warszawie” pisze Rose Bailly. „Spędziłam te lata na jej ulicach i w domach, w pałacach i ruinach, z pospólstwem i magnatami, robotnikami fabrycznymi i królami, z konspiratorami i kombatanami. Siedem lat — zarazem przytłaczających i upajających! Zmęczenie i choroba nierzaz mnie kładły do łóżka, ale i wtedy kontynuowałam pracę. Poza oknami rozciągał się Paryż, Neufchateau w Wogezach, Sorgues w regionie Vaucluse, wioska Berry czy polska farma we Francji; lecz ja zawsze myślałam przebywałam na Podwalu, Senatorskiej, Nowym Świecie, czy w Wilanowie. Ostatecznie zdrowie moje tak się popsuło, że musiałam — chcąc skończyć długą i wyteżoną pracę — opuścić Paryż, osiedlić się w Pau, na przeciw Pirenejów, które były jedną z moich miłości. Tam, wśród niezbędnego spokoju, mogłam — 1 września 1968 — zakończyć moją „Histoire de Varsovie”.

Warszawiacy! — dodaje nasza droga Różyczka — przebaczenie mi moza niedoskonałości i błędy, pamiętając, że takie dzieło mogło się narodzić jedynie — z wielkiej miłości”.

Jak Pani Zofia Pokusa założyła „Cracovię”

Wśród kilkudziesięciopięcioletniej grupy nauczycieli i kierowników polonijnych zespołów artystycznych przebywających w tym roku w Kraju, spotkałmy naszą Rodaczkę ze Stanów Zjednoczonych, p. Zofię Pokusę. Urodzona w Montrealu, tam skończyła polską szkołę średnią i w sierpniu 1939 r. przyjechała do Polski na wyższe studia muzyczne, gdzie zastał ją wybuch wojny, której pierwsze tygodnie przeżyła w Warszawie.

— Byłam pierwszą kobietą, która wyszła z tego piekła i przedostała się za ocean — wspomina pani Zofia, która od 1946 r. mieszka w London w stanie Ontario.

Od 30 lat p. Zofia Pokusa jest nauczycielką języka polskiego i francuskiego w szkole polskiej w London, gdzie zamieszkuje setki polskich rodzin. Tam też w 1948 r. zorganizowała polski zespół pieśni i tańca złożony z najmłodszych uczniów polskiej szkoły, których nauczyła tańczyć krakowiaka (stąd nazwa zespołu), a potem innych tańców regionalnych. Zespół rozrastał się z roku na rok, a obecnie liczy 25 par.

Pani Zofia od sześciu lat niemal rokrocznie przyjeżdża do Polski na kursy świetlicowo-taneczne organizowane przez Towarzystwo „Polonia”, skąd czerpie nową wiedzę przekazując nabyte wiadomości swoim wychowankom.

Notes de lecture

UN ROMAN
SUR L'INSURRECTION DE VARSOVIE

L'insurrection de Varsovie constitue l'une des plus glorieuses, mais aussi une des plus tragiques pages de l'histoire de la deuxième guerre mondiale, comme aussi de toute l'histoire de la Pologne. Déclenchée le 1-er août 1944 — il y a donc tout juste vingt-cinq ans — par le général Bor-Komorowski, commandant en chef de l'AK (Armia Krajowa, l'Armée Nationale, organisation clandestine qui dépendait du gouvernement polonais émigré de Londres), elle dura jusqu'au 2 octobre, c'est-à-dire 63 jours. Ce fut une guerre de rues, d'immeubles, d'égouts durant laquelle toute la population de la capitale fit preuve d'un héroïsme proprement insurpassable. Pour la réduire à capituler, les Nazis durent faire venir à Varsovie d'importants renforts et avoir recours aux blindés, à l'artillerie et à l'aviation. Après l'écrasement de l'insurrection, Hitler résolut de faire disparaître la ville de la face de la terre. Les Allemands déportèrent tous les survivants, pillèrent la ville quartier par quartier, incendièrent des rues entières au moyen de lance-flammes, puis dynamitèrent les murs qui restaient encore debout. Lorsque le 17 janvier 1945 les armées polonaises et soviétiques pénétrèrent dans Varsovie, celle-ci n'était plus qu'un „maçonnage de mort, de sang, de rêves sombres”.

200.000 personnes environ périrent au cours des combats de l'insurrection. Presque toute une génération — celle qui avait alors vingt ans — y laissa sa vie. C'est précisément le tragique et inoubliable écho de la lutte de cette génération contre les occupants nazis — une lutte qui fut plus qu'une lutte pour la vie, une lutte qui fut une affirmation de la grandeur de l'homme au milieu de son pire abaissement — que nous apporte Roman Bratny dans son éloquent roman intitulé „Avoir vingt ans à Varsovie”¹⁾.

Roman Bratny est né à Cracovie en 1921. Engagé dans la Résistance de 1939, il prit part à l'insurrection de Varsovie. A l'issue des combats, il fut déporté en Allemagne. Il rentra en Pologne au lendemain de la Libération et y dirigea „Pokolenie” („Notre Génération”), un hebdomadaire qui s'efforçait de trouver un terrain d'entente entre les anciens de l'Armée de l'Intérieur et le nouveau pouvoir populaire. Il a publié des recueils de poèmes, des

dramas, des nouvelles et des romans. Actuellement, il est rédacteur en chef adjoint de l'hebdomadaire littéraire varsovien „Kultura”.

Paru pour la première fois en 1957, „Avoir vingt ans à Varsovie” est incontestablement le chef-d'oeuvre de Bratny. Ce gros roman où la fiction côtoie, sans toujours la masquer, l'histoire vécue, le document, est une chronique, une vaste fresque dans laquelle l'auteur a ordonné une masse imposante de faits et de multiples visages dans la reconstitution des années d'occupation en Pologne, de l'insurrection et des premiers mois de la Pologne Populaire. S'il n'excellait guère dans l'analyse psychologique — la surabondance de vie de ses personnages laisse peu de place à l'analyse de leurs problèmes — Bratny possède en revanche admirablement l'art de faire voir. Quiconque veut connaître l'atmosphère des années d'occupation en Pologne et comprendre pourquoi les Polonais ne peuvent pas oublier se doit de faire l'acquisition de son livre. A lire, à relire, à faire lire. (K)

¹⁾ Roman Bratny: „Avoir vingt ans à Varsovie” (titre original: „Kolumbowie rocznik 20”), traduit du polonais par Léon Oustry, Gallimard.

LISTY Józefa Grzybka

PANIE REDAKTORZE!

No i co tam po wakacjach u Was nowego słychać? Bo u nas już wszyscy są. W kolonii buczy jak w ulu, panuje nieopisana wrzawa. Najwięcej szumu czynią oczywiście niewiasty. Schodzą się na „klachy” (pięknie to słowo oznacza po prostu plotki) i trajkoczą, aż się kurzy. Ostatnio podsłuchałem niechętnie jedną z tych powakacyjnych rozmów. Pozwólcie, że poczęstuję Was na wstępie fragmentem tej niezwykle ożywionej dyskusji. Zgoda? No to słuchajcie, proszę:

— No, tam gdzie my byliśmy to już było tak niemożliwie gorąco, że mój stary mówił, że jak tak pójdzie dalej, to rozlejemy się wszyscy jak stare kambery...

§§ MECENAS RADZI

Pan F. J. BÉTHUNE (Pas de Calais)

Słyszałem, że na podstawie ustawy z 10 stycznia 1957 r. można złożyć wniosek o rewizję renty wypadkowej?

Ustawa z 10 stycznia 1957 dotyczy rewizji w sprawie odszkodowań dla ofiar pylicy, w zastosowaniu rozporządzenia z 2 sierpnia 1945.

Art. 1 tej ustawy przewiduje, że chorzy na pylicę, uznana po raz pierwszy przed 1.I.1947, a którzy uzyskali odszkodowanie na zmianę zawodu lub uzyskali rentę z tytułu stałej niezdolności do pracy, mogą ubiegać się w razie pogorszenia o nowe ustalenie odszkodowania mimo że termin przewidziany art. 10 rozporządzenia z 2 sierpnia 1945 uległ przedawnieniu. Istnieje jednak warunek, by Sąd francuski miejsca nabycia pylicy uznał, iż powyższe pogorszenie dałoby miejsce nowemu ustaleniu odszkodowania, tak jak to przewiduje ustawa z 30 paźdź. 1946 o odszkodowaniu za wypadki przy pracy i choroby zawodowe.

Podobnie ma się z ustawą z 18 czerwca 1966. W danym wypadku chodzi o odszkodowanie dla ofiar wypadków przy pracy lub chorób zawodowych, ustalonych przed wejściem w życie ustawy o wypadkach przy pracy. Art. 1 tej ustawy przewiduje, że ofiary wypadków przy pracy lub chorób zawodowych sprzed 1.I.1947, których wniosek o renty wówczas nie był uwzględniony, mogą ubiegać się o zasiłek, jeżeli odpowiadają warunkom wymaganym dla uzyskania renty zgodnie z księgą IV, Kodeksu Ubezpieczeń Społecznych. Wysokość zasiłku jest obliczona w zastosowaniu reguł przewidzianych art. 453 i 454 Kodeksu Ubezpieczeń Społecznych.

POWIEŚĆ O STARYCH EMIGRANTACH¹⁾

Prosta, skromna, uczciwa opowieść. Autor nie sili się na żadne efekty stylistyczne, lecz opowiada bezpretensjonalnie to, co widział. Nic się w tej książce niezwykłego nie dzieje, fabuły prawie w niej nie ma, a raczej jest ona luźna, nie spaja się ściśle w szereg uporządkowanych wydarzeń, jest pełna wstawek, słowem, jest taka, jakim jest nie wymyślone, rzeczywiste ludzkie życie. Może właśnie dlatego chwytła ona za serce.

Rzecz dzieje się w dwudziestolecu międzywojennym, w położonym na pograniczu departamentów Pas-de-Calais i Nord, „na zalesionym płaskowzgórzu zniżającym się ku dolinie rzeczki Aix, prawego dopływu rzeki Scarpe” miasteczku górniczym Les Mines. W kolonii Les Mines mieszka ponad tysiąc rodzin przybyłych z Westfalii bądź też bezpośrednio z Kraju emigrantów polskich. Są to ludzie nie bardzo układni, rubaszni, zadziorni, namiętni, porywcy, ale za to do gruntu uczciwi i pracowici jak muły. Mimo iż żaden z nich nigdy nie czytał „Pana Tadeusza” ani Biblii Wujka, to jednak Polskę kochają oni równie ogromnie jak latarnik Skawiński lub stary Putrament ze „Wspomnienia z Maripozy”. Ich to właśnie uczynił autor bohaterami swojej książki. Na czoło tego bezmiernie stęsknionego za rodzinnymi krajobrazami i wdrażającego się powoli do nowego życia na gościnnej ziemi francuskiej wychodźczego tłumu wysuwają się działacze — stary Wiśniewski, najpierw prezes Towarzystwa św. Barbary, a następnie prezes komitetu Towarzystwa Miejskowych, młody Koźlik, prezes „Sokoła”, Andrzej Gawroński, prezes „Strzelca” itd., — miejscowy polski proboszcz — ksiądz Grzymałowski, nauczyciel — Kowalik oraz właściciel „Gospody Polskiej” — Józef Czajka.

Autor „EMIGRANTÓW”, p. Julian MAJCHERCZYK, spod pióra którego wyszło już

wiele poświęconych życiu emigrantów polskich we Francji zajmujących gawęd i opowiadań, jest dobrym i wrażliwym obserwatorem. Powieść jego roi się od trafnych podpatrzeń i spostrzeżeń. Rozpoczyna się ona w momencie, kiedy nie mogąc mimo najszczerzej chęci znaleźć wspólnego języka z księdzem francuskim emigranci z Les Mines postanawiają wywalczyć dla swojej kolonii księdza polskiego. Następnie opisuje p. Majcherczyk życie społeczne, wiernie odmalowuje codzienne radości i kłopoty emigrantów, wruszając opowiada o ich przywiązaniu do wszystkiego, co polskie. Zamyka powieść opis „prawdziwego polskiego wesela”, tj. wesela, jakiego już dzisiaj nigdzie chyba nie można uświadczyc. Najlepszym momentem książki jest ewokacja dawnej emigracyjnej Gwiazdki. Udany jest również opis bijatyki na zabawie.

Generalnie rzecz biorąc, „Emigranci” stanowią jak gdyby literacki odpowiednik malarskiej panoramy Józefa Więcka zatytułowanej „Za chlebem”. Pan Julian Majcherczyk zadał sobie trud ocalenia od zapomnienia atmosfery, jaka w dawnych latach panowała w polskich skupiskach, psychiki starych emigrantów, ich obyczajów, ich dzielności, ich niekłamanej patriotyzmu; opisał świat zmierzający, świat, który powoli odchodzi w bezpowrotną przeszłość i o którym — jako że coraz więcej odlatuje od nas — na zawsze weteranów i jako że pamięć ludzka jest jak wiadomo zawodna — niewiele już dzisiaj potrafi opowiedzieć. W przedstawieniu tego dawnego „polskiego Nordu” nie ustrzegł się wprawdzie przed pewnymi błędami i uchybieniami kompozycyjnymi — wiele scen książki grzeszy zbytnią rozwalkością — ale za to podszedł do tematu z serdecznością, wczuł się w mentalność dawnych wychodźczych działaczy. Jest rzeczą pewną, że niejednemu staremu emigrantowi zaszklą się nad tą książką oczy.

¹⁾ Julian Majcherczyk: „Emigranci”. Księgarnia Polska w Paryżu. Książkę tę można zamówić w „La Boutique Polonaise” (25, rue Drouot, Paris 9-ème).

Rentrée

— A my byliśmy w Bretanii. Tam też gorąco było piekielnie, w niektóre dni aż zdawało się, że — jak to mówią — ogień z nieba leci. A jak tam jest ładnie! No już tak ładnie, że nie wiem!

— Stara Przybylska pojechała latoś do Polski. Powiada, że tak się jej w tej Polsce podobało, że gdyby nie to, że chce zostać pochowana koło swojego chłopca, to spakowałaby manatki i wróciłaby do Kraju...

— Ano, ano...

— Nie ona jedna tak mówi!

— Dzieciom na koloniach w Polsce też bardzo się podobało. Moja wnuczka już zapowiedziała, że w przyszłym roku też pojedzie. A ile się piosenek i wierszyków nauczyła! A po polsku jak się teraz potrafi rozmówić! Jak stara! Jeszcze ja się teraz od niej uczyć! Kiedy wczoraj pochwalilem przy niej suknię Antoniowej Helci, to uczyniła uwagę, że teraz w Polsce na coś eleganckiego (bo ja o tej Helcinej sukni powiedziałem, że jest elegancka), nie mówi się „eleganckie”, tylko: „szatowe”...

— Cie... cie...

— A widziałyście jak się Walczaczki Andzia opaliła? Ta dopiero musiała nawiądywać na wakacjach pieniędzy na różne kremy i olejki!

— A jak to tę swoją opaleniznę pokazuje!

— Prawda! Gdyby mogła, to by już chyba wszystko pokazała!

— No! Ze ten jej chłop nic jej nie powie! Przecież ta jej spódniczka jest taka kusa, że ledwie jej śmieszne miejsce okrywa!

— Inny chłop dawno już by ją sprzął na kwaśne jabłko i zaraz by przestał tak łazić...

I tak dalej, i tak dalej. A to jeszcze to, a to jeszcze tamto, a to jeszcze jakieś znajomej trzeba przyjąć łatkę... Po prostu nie mogą się kobiety nagadać. Jak to po wakacjach. No dobrze, skończmy już z tym podrywaniem z płci pięknej, bo jeszcze się kiedy panie naprawdę zeżłią i sprawią mi takie lanie, że mnie rodzony „Tygodnik” nie pozna. Koniec. Kropka. Szlus. Przysięgam, że już nigdy żadnym wymierzonym w kobiety sztyderstwem ust swoich nie skalam (chyba, rzecz jasna, żeby się już tak chciało kpić, żeby nie mógł wytrzymać...)

Przejdźmy teraz do rzeczy poważnych. Patrzenie. Mamy oto tak zwaną „rentrée”. Powoli wszystko wraca do normy. Rozpoczyna się nowy rok pra-

cy i nauki. Rozpoczyna się także nowy rok pracy polonijnej. Czy nie sądzicie, że warto by w tym nowym roku zająć się poważnie, energicznie, sumiennie zainicjowaną rok temu przez „Tygodnik” akcją zbierania pamiątek Emigracji? Ze warto by zacząć w tym nowym roku zasilac naszymi wychodźczymi pamiątkami powstające w Kraju Muzeum Emigracji? Ze warto by wreszcie zacząć konkretnie coś robić? Piszę tak, bo wydaje mi się, że do tej pory zdziałaliśmy w tej sprawie naprawdę niewiele. Przypomnijcie sobie: trud przemysłowca pięknego projektu zebrania pamiątek Emigracji i umieszczenia ich w specjalnym, poświęconym Polonii muzeum zadato sobie w trakcie minionych miesięcy zaledwie kilkanaście osób. Wypowiadali się na ten temat bracia kurkowi z p. Witoldem Nowakiem na czele, wypowiedziało się paru prezesów, i jeszcze pp. Flaczyński z Houdain, Curyło z Divion, Dobrzelewski z Auchel, Strzemieczny z Blanc-Mesnil, o dawnych polskich muzykantach i o muzyce emigracyjnej ładnie mówił kompozytor Stanisław Ratajski z Harnes — no i chyba już są wszyscy. Nie spał się także i sam „Tygodnik”: zapowiedział, że opublikuje reportaże z tworzącego się w Warce, w rodzinnym dworku Pułaskiego Muzeum Emigracji — i nic. Idzie jesień, idzie zima, a reportażu jak nie ma tak nie ma. Czyżby to muzeum jeszcze nie zostało utworzone, a nadal jest tylko w sferze projektów?

Dlatego też teraz w tym rozpoczynającym się nowym roku pracy polonijnej winniśmy starać się do zaniebanie naprawić. Trzeba, żebyśmy teraz wszyscy przyłożyli rękę do ocalenia naszych pamiątek. Trzeba, żeby w zagajonej przez pp. Nowaka, Flaczyńskiego, Curyło itd. dyskusji o tych pamiątkach zabrali teraz głos także i inni Czytelnicy, także i inni działacze. Przecież na pewno mają coś do powiedzenia na ten temat i taki dzielny i zasłużony działacz jak p. Proch z Troyes, i p. Leja z dalekiego Lazurowego Wybrzeża, i p. Czarka z Waziers, i p. Stanisław Dolata z Mouveaux, i tacy działacze z Belgii jak na przykład pp. Stala, Wątroba, Ciołek, Ziembowicz, i wiele innych jeszcze Rodaczek i Rodaków, prawda? No to napiszcie, Drodzy moi. Napiszcie do „Tygodnika”, co o tej sprawie — o zbieraniu wychodźczych pamiątek i tworzeniu w Kraju Muzeum Emigracji — myślicie, jakie jest Wasze zdanie na ten temat, jakie nasuwają się Wam spostrzeżenia, itd. Posuńmy wspólnymi siłami tę sprawę naprzód!

Bywajcie zdrowi, Drodzy moi.

Józef Grzybek
z Nordu

NOTATNIK SPORTOWCA

PILKA NOŻNA

ST. VALLIER. W ramach akcji zbliżenia dwu miast bliźniaczych Rybnika i St. Vallier na polu sportowym udało się ostatnio delegacja z St. Vallier do Rybnika celem omówienia tej sprawy na terenie Polski. Delegację miejscową prowadził radny miejski p. Krakowiak i p. Grosjean. Stronę sportową polską reprezentował p. Furmański, inspektor kopalni w Chwałowicach, członek zarządu klubu ROW. Zawarta została prowizoryczna umowa, w wyniku której drużyna ROW ma przybyć do zagłębia Blanzj na przyszły rok, po czym reprezentacja St. Vallier ma udać się do Rybnika. Ustalony program ma być zatwierdzony przez zarządy klubów oraz organizacje nadrzędne.

SANVIGNES-les-MINES. Były bramkarz miejscowego klubu piłki nożnej Ryszard NOWACKI opuścił swój klub rodzinny podpisując deklarację do klubu w

Cuisseaux, zwanego popularnie Charcutiers.

MONTCEAU-les-MINES, MAGNY. Miejscowy klub C.S. Magny rozpoczął ostatnio ostre treningi pod kierunkiem p. Marc Borowika, licząc się poważnie z możliwością awansu pod koniec sezonu. 69/70.

PLYWANIE

CHAROLLES. W miejscowym klubie występować będą w nadchodzącym sezonie m. in. pływacy Alfred Sulewski, Nicolas Sementa, Alice Sulewski i Patricia Benek.

BAPAUME. W ramach spotkania pływackiego młodych pływaków północy Francji bracia Słowik zajęli trzykrotnie pierwsze miejsca. I tak pływanie stylem dowolnym na 100 m wygrał Jean-Michel Słowik przed Jarugą z Leforest, wygrywając równocześnie 100 m stylem grzbietowym. Trzeci sukces to wygrana młodzika Claude Słowika na 100 m (N. L.). Był on 5 także w stylu grzbietowym na 100 m.



ODZNACZENIA MEDALAMI PRACY

W dalszym ciągu liczni weterani pracy górniczej otrzymują zasłużone odznaczenia, przyznane im przez min. pracy. I tak otrzymali je ostatnio: **Henin-Lietard** — p. Michał Duszyński, p. Franciszek Jastrzębski, p. Mariusz Kościński, p. Marian Kolski, p. Edmund Zamorski. **Ostricourt:** p. Tadeusz Głowacki, p. Józef Wysocki, p. Zenon Zamorski, p. Kazimierz Filipek, p. Bronisław Słusarek, p. Benoit Bednarski, p. Czesław Grzelczyk, p. Stanisław Stachwiak. **Douvain:** p. Emil Laniak (srebrny). **Leforest:** p. Marian Andrzejczak (vermeil), p. Leon Malik (vermeil). **Noyelles-sous-Lens:** p. Marian Głanowski, p. Stanisław Michalski, p. Geor-

ges Lepsik, p. Henryk Plotkarz, p. Antoni Nowak (medale srebrne). p. Alfons Rydzalski, p. Jan Nowak, p. Bronisław Waligóra (vermeil, oraz medale złote). Duży medal złoty otrzymali dodatkowo p. J. Nowak i p. B. Waligóra. Pośmiertnie otrzymał odznaczenie p. Marian Głanowski.

ODZNACZENIA ZA OKWIECONE DOMKI I OGRODY

HENIN-LIETARD. Ostatnio został tu ogłoszony konkurs na pięknie okwiecone domki i ogródki w grupie kopalnianej Henin-Lietard. W kat. debiutantów p. Jan Madejewski, Fosse 21 z Harnes otrzymał nagrodę czwartą, p. J.-Claude Madzgoń, Fosse 24 z Courrieres 5, p. Henryk Gibowski, Fosse 24 z Carvin 8, p. Jan Stawicki, Fosse 3/4 z Rouvroy 9. W kat. spensjonowanych p. Stefania Jurek, wdowa, 4, rue Allevard z Noyelles-sous-Lens, druga, p. Antoni Adamski, 31 rue de Creil z Montigny-en-Gohelle 4, p. Antonina Bujak, wdowa, 12 rue Desrousseaux z Rouvroy 5, p. Roch Kurański, 24, route Nationale Carvin 6, p. Franciszek Grygier, 161, rue Louise-Michel z Sallaumines, 8. W kat. personelu czynnego p. Szymon Kopidura, 29, rue de Proviz z Noyelles-sous-Lens 4, p. Edmund Michalak, 11, Chemin-Lateral z Courrieres 6, p. Franciszek Marzyński, 47, rue Paul-Guerre z Harnes 7, p. Leon Marzyński, 4, Chemin de Vermeilles, Harnes 8, p. Henryk Kasprzyk, Fosse 24, 15, rue de la Fosse z Etsvelles 9.

BULLY-les-MINES. W przeprowadzonym ostatnio konkursie okwieconych domków p. Gmerek zajął miejsce 8, p. Helena Fubiak 12, p. Mikołajczyk i p. Szymura 13, p. Maria Tadeuszak 17, p. Wiśniewska 18, p. Haremza 22, p. Węch 27.

EGZAMINY TECHNICZNE

HENIN-LIETARD. W ramach ostatnio przeprowadzonych egzaminów dyplomy CAP otrzymali w zakresie księgowości i stenodaktylo: p. Renne Baszyński, p. Henryk Komorniczek, p. Bernard Ptaszek, p. Szymon Musielski, w zakresie j. angielskiego handlowego p. Yolanda Lewalska. Dodatkowo tytuł prowadzącego księgi handlowe uzyskał także p. H. Komorniczek.

BULIŚCI

SANVIGNES - les - MINES. Konkurs bulistyczny organizowany przez La Boule des Georgets wygrała para Pręcak—Antek z Sanvignes. W spotkaniach przedfinałowych wyróżnił się nadto p. Kier-

owski. **BOIS-du-VERNE.** W konkursie stow. Amicale-Boule du Bois p. Mikulski zajął miejsce 5.

LA SAULE. Para Brzozowski—Tuliński jest w dalszym ciągu niepokonana w turniejach organizowanych na terenie zagłębia Blanzj. Bezpośrednio za nimi wyróżniają się p. Kaczmarek, p. Skorupiński, p. Hanuszek, p. Adamski, p. Ciosmak, p. Danielewicz i p. Wrona.

HOJNOŚĆ NA CELE SPOŁECZNE

MONTCEAU-les-MINES. Zebrań w czasie zaślubin datki ze strony przyjaciół, ofiarowały na cele opieki społecznej małżeństwa: Sularek—Mazurek, Furmanowski—Krysielka, Gardyś—Ducloux.

RODZINA BLIŹNIĄKÓW

ESTEVELLES. Przysłowio-we wprost szczęście do bliźniaków ma rodzina Pilińskich. I tak p. Franciszek Piliński brat bliźniaczy p. Marii Hatlas został ostatnio ojcem bliźniaków. Również jego brat p. Józef Piliński jest szczęśliwym ojcem bliźniaków. Nic dziwnego, że fakt ten jest szeroko komentowany przez okoliczne społeczeństwo polskie, wśród którego rodzina Pilińskich cieszy się dużą sympatią.

KĄCIK HODOWCY GOŁĘBI

ANICHE-LEWARDE. W konkursie organizowanym przez Entente Aniche-Guesnain-Lewarde sur Angerville p. Włoch zajął miejsce 4, p. Biernacki 6, p. Baszyński 11, p. Łukowiak 17 i 33. W zestawieniu seryjnym p. Łukowiak zajął miejsce pierwsze.

DOUAI. Stow. le Macot de Lambres zorganizowało ostatnio konkurs Angerville dla młodych gołębi. Konkurs ten wygrał p. Garzecki (Pont), p. Cyprys (F.M.) był 14, a p. Górny (Waziers) 45 i 46. W konkursie wzięło udział przeszło 200 gołębi.

LALLAING - PECQUEN-COURT. Entente Lallaing-Pecquencourt zorganizowało konkurs dla starszych gołębi. P. Cachera był 2, p. Bacza 17 (Pecquencourt), p. Walkowiak (Lallaing) 9 i 13, p. Szulczyk (ojciec) z Pecq. 12 i 14 i p. Turek z Lallaing 28. Seryjnie wygrali p. Szulczyk i p. Walkowiak.

Poszukuje się 1 egz. Kalendarza „Wiarusa Polskiego” wydanego z okazji 50-lecia pisma, II wydanie z fotografiami w roku 1940. Nadsyłać „Tygodnik Polski”, Paryż IX, 23 rue Taitbout 23.

B. DOWOJNA-BIENAIME

TLUMACZKA PRZYŚIĘGŁA PRZY WYŻSZYCH SĄDACH W PARYŻU

Tłumaczenia urzędowe ważne w całej Francji

23, quai de la Tournelle PARIS (5 e)

TELEFON: ODEon 41-17 METRO: PONT-MARIE

NASZA KRONIKA RODZINNA

NIECH ZDROWO ROSNĄ!

Rodziny naszych Rodaków powiększyły się. Ostatnio urodzili się:

AUCHEL: Christine Silińska, Karolina Kasprzyk, Monika Czarnecka, Remi Szatkowski, Bruno Pomykała (Marles). **SAINS-en-GOHELLE:** Anne-Marie Synoradzka. **MERICOURT:** Cathy Nowak, Laurence Walczak, Thierry Popowicz, Jean-Michel Józefiak, Corinne Burmistrz, Christophe Krefta. **DOUAI:** Thierry Nowaczyk, Katarzyna Ludwiczak, **FRAISMARAIS:** Christine Słowik. **LIEVIN:** Franciszek Budzyński, Karine Wojtasik, Filip Cieślak. **LENS:** Gerard Ciszewski. **AVION:** Sabina Glinkowska, Freddy Bedryczuk, Pascal Roszak (Mericourt). **BLANZY:** Jean-Luc Sadowski, Marian Gabas, Patrice Adamski, Doroła Smągło, Patrycja Nieborak, Ryszard Lonak (Sanvignes). **BETHUNE:** Eric Bajer, syn Stanisława i Heleny z domu Topolińska, Doriane Szymczak, Christophe Dębski. **MEURCHIN:** David Jędrasik (Lens). **NOYELLES-sous-LENS:** Georges Wysocki. **GRENAY:** Nicole Matuszak. **BARLIN:** Jean-Marie Sadys, syn Walentego i Janiny z domu Andrzejewska.

Szczęśliwym Rodzicom życzymy dużo pociechy z najmłodszych!

STO LAT DLA NOWOŻEŃCÓW!

Ku radości Rodzin i Przyjaciół małżeństwa zawarli ostatnio:

LIEVIN: Monika Danger i Alain Kucheida, Monika Podraza i Guy Gapenne, Annie Peplińska i Jackie Vilette, Daniele Ricq i Jan Kowalczyk, Annie Stadelman i Jean-Pierre Nowacki. **BLANZY-les-MINES:** Wanda Gruszka i Daniel Leusiau, Christiane Ratajczak i Ryszard Duda, Monika Lewandowska i Paul Duvignaud, Chantal Białas i Andrzej Sosnowski. **MONTCEAU-les-MINES:** Nicole Mazurek i Jean-Pierre Sularek, Teresa Krysielka i Edmund Formanowski. **LALLAING:** Monika Brzemska i Bruno Skuza. **BRUAY-en-ARTOIS:** Monique Gadomska i Didier Millequant, Rosemonde Macierzanka i Jacques Car-

senac. **NOYELLES-sous-LENS:** Claudine Ciszek i Lucien Stevenard, Christine Staszak i Michel Therese, Ryszarda Janicka i Henryk Geca, Violetta Piotrowska i Henryk Szpakowski. **HERSIN-COUPIGNY:** Yvette Beauvais i Jacques Szymkowiak, Arlette Wosiek i Jean-Marie Pesant. **DIVION:** Christine Góra i Daniel Teysgeur, Teresa Kapala i Daniel Mollet, Marie-Jeanne Descamps i Jean Król, Irena Wasilewska i Armand Terrail. **MAZINGARBE:** Nicole Pałka i Jean-Pierre Granata. **MERICOURT:** Lucie Bochacz i Jan Liberski, Micheline Haussy i Michał Hertlik, Genevieve Goślińska i Henri Pierrepont, Juliette Drais i Stanisław Nowaczyk, Annie Fontaine i Francis Łuczak, Kazimiera Pietrzak i Henryk Mikołajczak, Irena Dutkiewicz i Ryszard Marciniak, Lucie Jesiołowska i José Evrard, Sylviane Kosteczka i Alain Lestienne, Irena Szwalko i Jean-Pierre Vanroy, Helena Woźniak i Daniel Fleurisson. **SAINS-en-GOHELLE:** Mauricette Browaeys i Leon Krzewina. Nowożeńcom życzymy dużo pomyślności i tradycyjnych stu lat!

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Z żalem donosimy, że ostatnio odeszli od nas:

MERICOURT: Marianna Cegła z domu Walczak, lat 87. **MONTIGNY-en-GOHELLE:** Fabrice Generowicz, lat 14. **NOYELLES-sous-LENS:** Stanisław Krawiecki, lat 63, Franciszka Janiaczyk z domu Pacholska, Konstancja Chucz z domu Ratajczyk, lat 81, Bolesław Kończak, lat 61. **DIVION:** Józef Płacaszek, lat 70, Zofia Halamska z domu Bartoszek, lat 61, Albert Łączny, lat 82, Teodor Formanowski, lat 68. **BETHUNE:** Józef Trzebiński, lat 67. **WINGLES:** Victorine Węziak z domu Kazubska, lat 57. **LILLE:** Wincenty Nitka, lat 71. **HENIN-LIETARD:** Leon Rogowski. **ANNEZIN:** Helena Dratwińska z domu Helak, lat 81. **LOOS-en-GOHELLE:** Bruno Jakubowski, lat 56.

Rodzynom Zmarłych składamy serdeczne wyrazy współczucia.

WIZYTA FRANCUSKIEGO KONSULA NA KOLONIACH WE WRONIAWACH

Dokończenie ze str. 7

Tylko jeden z uczestników kolonii, oryginalny zbieracz autografów, nie jest zadwołony z terminu wizyty konsula. Chłopak nadwreżył sobie nogę, grając w piłkę; trzeba było na szereg dni unieruchomić kończynę w gipsie. Teraz,

kiedy zdjęto gipsowy pancerz, zbiera na nim podpisy kolegów i bardzo żałuje, że nie może poprosić o autograf również pana Seillera.

Chłopcy zawożą do rodzinnych domów nie tylko materialne drobne pamiątki, upominki — książki, albumy, wyroby ludowe (lalki), rzeźbione laski góralskie, a przede wszystkim polskie płyty,

bo wszyscy lubią muzykę, mocne uderzenie, piosenki — do Opery Leśnej w Sopocie ciągnęli przecież jak do Mekki. Zawożą głównie rzecz najważniejszą: masę wrażeń (również notatek), wspomnień, zachwyceń — smak ojczyzny.

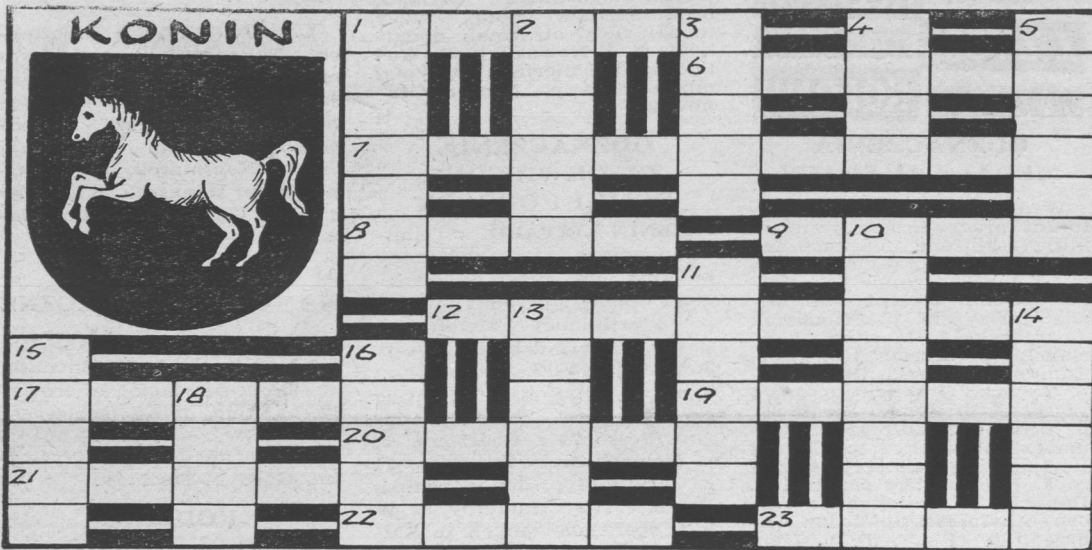
Kończymy ostatnie rozmowy, żegnamy się. Ze świetlicy dochodzi znów urywek pio-

senki: „Jeśli możesz, przyjdź do nas w gości! — To były idealne wakacje — zapewniamy chłopcy. Jeśli tylko będziemy mogli, przyjedziemy na pewno.

Tekst — Zenon BOSACKI

Zdjęcia — Stanisław OSSOWSKI

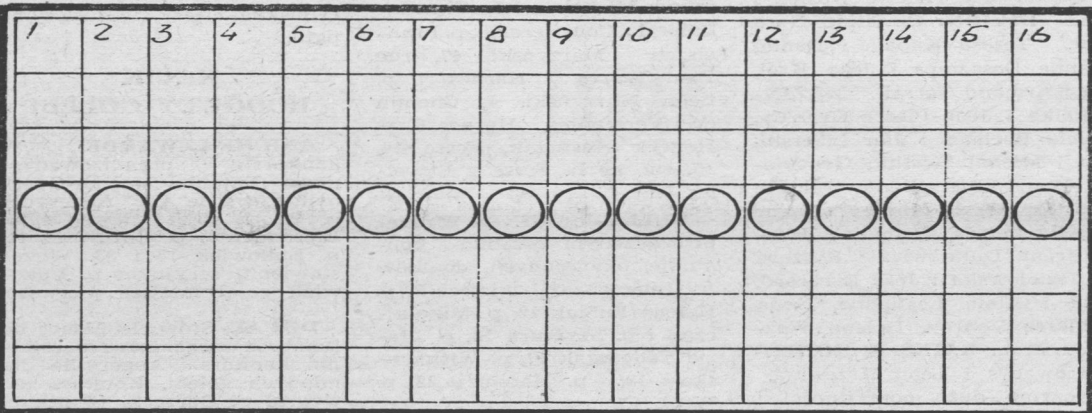
Rozrywki umysłowe



POLSKIE MIASTA

POZIOMO: 1) obrazkowa łamigłówka, 6) zespół aktorski teatru lub cyrku, 7) wybitny polski kompozytor, twórca opery narodowej, autor oper „Halka” i „Straszny Dwór”, 8) materiał opatrunkowy, 9) monotonia życia na pudy, 12) jadowity krewniak pająka, żyjący w ciepłych krajach, jest jednym ze znaków zodiaku, 17) marionetka, lalka, manekin, 19) lekceważąco o mężczyźnie mało znanym, osobnik, ktoś, 2) szczypczyki, małe obcząski, 21)

krynica, źródło, 22) statek Noego, 23) wał wodny powstały skutkiem działania wiatru. PIONOWO: 1) konwersacja, pogadanka, gawęda, 2) rodzaj sztyletu osadzonego na końcu karabinu, 3) duży ptak afrykański, który ponoć chowa głowę w piasek, 4) pryznicz, natrysk, 5) zapasy sportowe, 10) dezercja, rejttera, 11) pisząca część ołówka, 13) hokejowa „piłka”, 14) ciągnie wilka do lasu, 15) plama na honorze, 16) wyznaczona porcja żywności, 18) boisko tenisowe.



LOGOGRYF Z PRZYSŁOWIEM

Prosimy odgadnąć 16 wyrazów 7-literowych o podanych niżej znaczeniach i wpisać je pionowo do odpowiednich kratek rysunku, mając na uwadze, że początkowe litery wszystkich wyrazów są jednakowe. Litery, które znajdują się w polach z kółkami, czytane poziomo dadzą rozwiązanie.

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) paczka, tobolek albo szczeliwo, 2) poważne zagadnienie, wymagające rozstrzygnięcia, 3) czoło chodnika, gdzie wybiera się węgiel, 4) plan zamierzonych czynności, 5) typ staroświeckiego Polaka, 6) uznanie publiczne, aplauz, 7) zjadli-

wa drwina, ironia, 8) mazgaj, bekka, 9) nieprzebyty, wielki las pierwotny, 10) szczątki zmrzałego drzewa, 11) nocny ptak drapieżny z dużymi uszkami z piór, 12) część mostu między dwoma filarami, 13) wyrób, wytwór, 14) ziemię polskie nad Morzem Bałtyckim, 15) kradzież literacka, 16) akuszerka.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali bezbłędne rozwiązania, zostaną rozlosowane NAGRODY KSIĄŻKOWE

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z PRZYSŁOWIEM Z N-RU 34

NA JEDNYM MIEJSCU I KAMIEŃ MCHEM PORASTA.

POZIOMO: 1) maruder, 4) Apollo, 9) Nobel, 11) zalecanki, 12) tankowiec, 13) kutwa, 14) uwagi, 15) po-

wijaki, 18) promocja, 20) słowo, 22) skwar, 24) wybraniec, 26) przesyłka, 27) narty, 28) kwarta, 29) analiza.

PIONOWO: 1) monstrum, 2) daltonizm, 3) różgi, 5) pęczak, 6) lunatyk, 7) oliwa, 8) „Placówka”, 10) banda, 15) pochwała, 16) Jastarnia, 17) kończyzna, 19) rewizja, 21) obiór, 22) szpik, 23) rusz, 25) brama.

TV DU 14 AU 20 SEPTEMBRE

PREMIER CHAINE

TELE-MIDI — 13.00, TELE-SOIR — 20.00, TELE-NUIT — à la fin du programme.
ACTUALITES REGIONALES — 19.15 (sauf le dimanche).
„AGENCE INTERIM” — nr. 13 et fin — lundi le 15 sept.
„TROIS ETOILES” — un nouveau feuilleton réal. Maurice Regamey — 12.30, (sauf jeudi et dimanche).
„CANDICE CE N'EST PAS SERIEUX” — 13.30, (sauf le dimanche).
ETE-MAGAZINE — seulement le 15 et le 17 septembre — 19.00 et 19.40.

DIMANCHE 14 SEPTEMBRE.

9.10. Télé-Matin.
12.02. La séquence du spectateur.
13.40. Variétés: Il n'y a plus de Pyrénées — une émission d'Aimée Mortimer.
14.25. Les quatre saisons.
14.55. Sports — Championnat d'Europe d'Avion sur le Voerthersea a Klagenfurt (Autriche).
17.15. „L'Aventure est au coin de la rue” — un film de J. Daniel-Forman (Raymond Rouleau, Michèle Alfa, Suzy Carrier).
18.45. „Flipper le dauphin”.
19.30. „Le trésor de Hollandais” nr. 2. „La fille aux yeux d'émail”, réal. Philippe Agostini.
20.50. „L'Incendie de Chicago” — un film de Henry King (Tyronne Power, Alice Faye, Don Ameche).
22.35. Vocations — Une émiss. du Service de la Recherche, ce soir: „Docteur Gosset”, réal. Igor Barrere.

LUNDI 15 SEPTEMBRE.

18.30. Magazine féminin.
20.30. „Daktari”.
21.20. Les coulisses de l'exploit.
22.20. „L'Album souvenir”: 10 ans de joie de vivre, nr. 3, réal. Henri Spade.

MARDI 16 SEPTEMBRE.

13.30. Je voudrais savoir.
14.00. Eurovision: Championnat d'Europe d'athlétisme à Athènes.
20.30. Dramatique.
22.00. Championnat d'Europe d'athlétisme à Athènes.

MERCREDI 17 SEPTEMBRE.

14.00. Eurovision: Championnat d'Europe d'athlétisme à Athènes.
18.10. Histoires de Paris: „Les Buttes Chaumont” — un film de Jacques Sanger.
18.30. Lire et comprendre.
20.30. La piste aux étoiles.
21.30. La vocation d'un homme — „Le magistrat” — une émiss. de Jean Cherasse.
22.20. Championnat d'Europe d'athlétisme à Athènes.

JEUDI 18 SEPTEMBRE.

12.30. La séquence du jeune spectateur.
16.30. Championnat d'athlétisme à Athènes.
20.30. Panorama.
21.30. „Les Envahisseurs” nr. 3.
22.20. Championnat d'Europe d'athlétisme à Athènes.

VENDREDI 19 SEPTEMBRE.

15.30. France — vacances, fin.
16.00. Championnat d'Europe d'athlétisme à Athènes.
20.30. Au théâtre ce soir: „Une femme ravie” de L. Verneuil, mise en scène de Robert Manuel, réal. Pierre Sabbagh.
22.50. Championnat d'Europe d'athlétisme à Athènes.

SAMEDI 20 SEPTEMBRE.

16.50. Championnat d'Europe d'athlétisme à Athènes.
20.30. „Match contre la vie” nr. II.
21.20. Chansons champions.
22.00. Championnat d'Europe d'athlétisme à Athènes.

DEUXIEME CHAINE — COULEUR

(C) — couleur, (CN) — couleur et noir et blanc, émissions sans aucune mention sont exclusivement en noir et blanc.
COLORIX — EMISSIONS POUR LES JEUNES (C) — 18.55 (sauf le dimanche).

ACTUALITES REGIONALES ET COURT METRAGE (C) — 19.15 (sauf le dimanche).
TELE-SOIR-COULEUR (C) — 19.35.
TELE-SPORTS — (C) — 19.55.

DIMANCHE 14 SEPTEMBRE.

14.55. (C) „La vallée de l'or noir” — un film de Ralph Thomas.
16.35. (C) Pique-Nique à Concarneau.
18.35. (C) L'Amour de l'art.
20.00. (C) „Le cheval de fer”.
20.50. (C) Soirée Bejart au Théâtre de l'Ouest Parisien.

LUNDI 15 SEPTEMBRE.

20.00. (C) Monsieur Cinéma.
21.20. (C) Festival du Western: „La Colline des Potences” — un film de Delmer Daves (Gary Cooper, Maria Schell).

MARDI 16 SEPTEMBRE.

20.00. (C) „D'Iberville”.
20.30. (C) Civilisation — une émiss. d'André Voisin.
22.00. „Le Cri” — un film de Michelangelo Antonioni.

MERCREDI 17 SEPTEMBRE.

20.30. (C) Les dossiers de l'écran: „Septembre 39” — un film (polonais) de Jerzy Bossak — montage de documents.
(C) Débat.

JEUDI 18 SEPTEMBRE.

20.00. (C) Le mot le plus long.
20.30. (C) „Cirque en liberté”.
22.00. (C) Musique pour vous.
22.45. Concert: Orchestre National de L'ORTF sous la direction de Serencsik.

VENDREDI 19 SEPTEMBRE.

20.00. Cinema critique.
20.30. (C) Au risque de vous plaire — une émission de Jean-Christophe Averty, (Julien Clerc, Eddy Mitchell, Patrick Abrial, Christine Lebaill, Grosso et Mado, Philippe Lavil).
21.30. Cycle: „Cinéma Novo” brésilien: „O.S. Fusis” — un film de Ruy Guerra.

SAMEDI 20 SEPTEMBRE.

20.00. (C) Les rendez-vous de l'aventure — „Volcans d'Islande”.
20.30. (C) Chronique des siècles: „La Longue Chasse du Roi Louis” — une émiss. de Jean Cosmos, réal. et mise en scène de Jean-Paul Carrère.
22.40. (C) Avis aux amateurs: „Napoleon”.

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

23, rue Taitbout, Paris IX
Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51
C.C.P. 92.20 - 76 Paris

34/7 rue Chuasteur-Lodelinsart
Mme Ol. Kuc
C.C.P. 66.69.45 Belgique
Cena prenumeraty:

kwartalnie: 7 F. — 70 Fr. B.
półrocznie: 12 F. — 120 Fr. B.
rocznie: 20 F. — 210 Fr. B.

Président Directeur
Général: Danuta
JAGOSZEWSKI Bienaimé

IMPRIMERIE

Zakłady Graficzne „Tamka”,
Zaki. nr 1, Varsovie, Tamka 3.

Czy dojdzie do reformy czasu?

Anglicy przechodzący obecnie stopniowo na dziesiętny układ miar, wag i systemu monetarnego — tak się przejęli tymi zmianami, że za jednym zamachem chcą zrewolucjonizować także... tarcze zegarów. Odpowiedni eksperci opracowywać już projekt został przedstawiony niedawno międzynarodowemu gronu ekspertów od spraw normalizacji na obradach w Brukseli.

Rzecz wygląda dość logicznie, bo poza tradycją niewiele przemawia za dotychczasową skalą czasu. Jej podstawowa jednostka — sekunda — nie ma żadnego wzorca naturalnego i ustalana jest obecnie porównawczo na podstawie zjawisk atomowych. Również system przeliczeniowy godzin, minut i sekund jest bardzo uciążliwy i nie przestrzegany konsekwentnie, gdyż poniżej sekundy używa się już przeciwieństw nauce, technice, a także i w

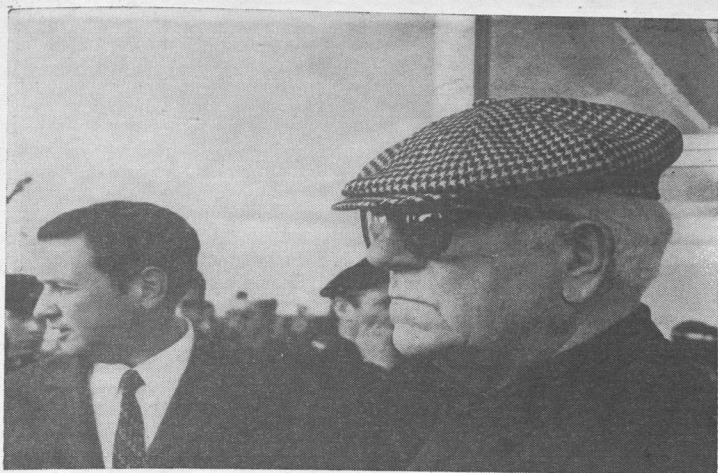
sporcie — ułamków dziesiętnych.

Projekt angielski przewiduje więc przyjęcie za jednostkę czasu najbardziej naturalnego wzorca, jakim jest dzień (doba). Dzieliłby się on na 10 decydni (po 2,4 obecnej godziny), 100 centydni (około kwadrans), tysiąc milidni (około półtoręj minuty) i milion mikrodni o długości 0,0864 sekundy.

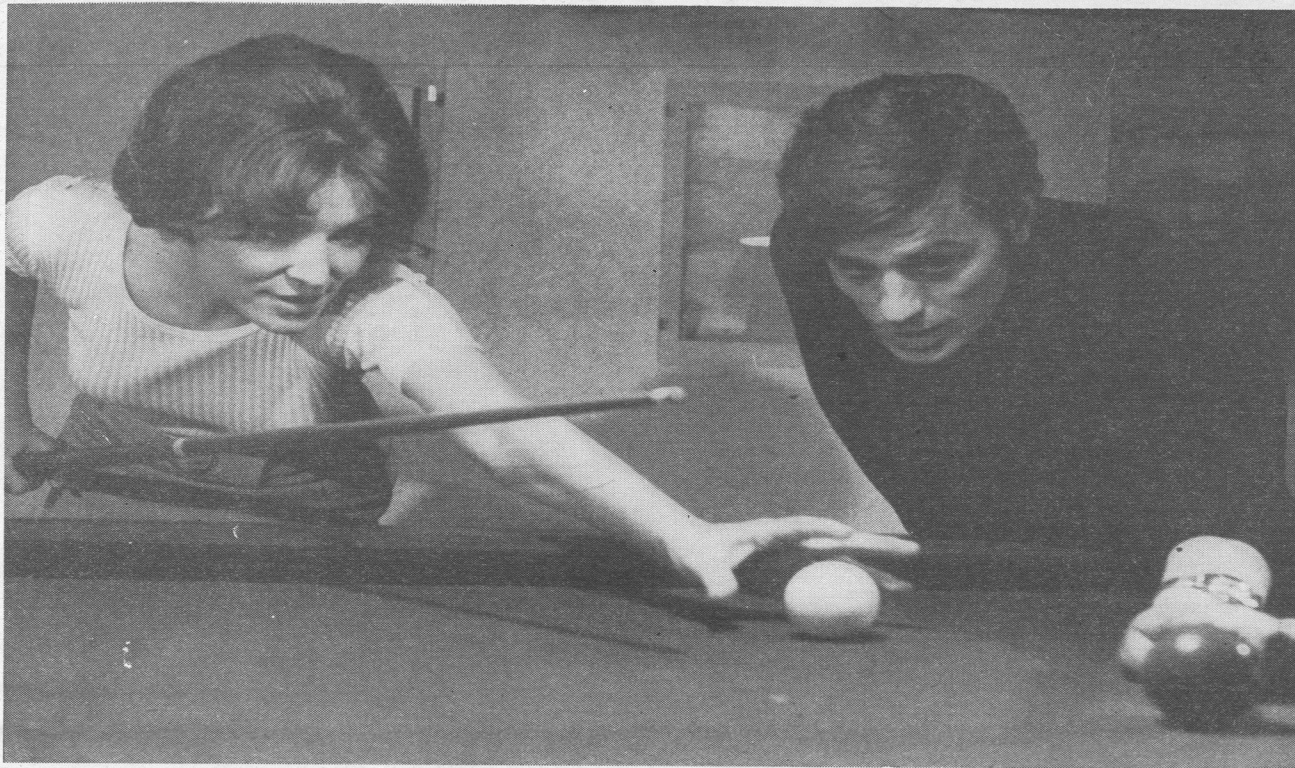
Są również zwolennicy odwrócenia tej skali i przyjęcia

za podstawę najmniejszej jednostki, którą nazwano już zabawnie, ale i pomysłowo — cyk. Doba nazywałaby się wtedy — megacykiem, a jajko gotowane przez dwa kilocyki byłoby w sam raz na śniadanie. W każdym razie w polskim języku z cykiem byłoby mniejsze kłopoty niż z tymi minidobami...

Na szczęście jednak projekt został uznany przez ekspertów za zbyt trudny obecnie do realizacji i odłożony.



„LE CLAN DES SICILIENS”



Réalisateur: HENRI VERNEUIL.
Scénario: d'après le roman d'Auguste LE BRETON.
Adaptation et dialogues: Henri VERNEUIL, José GIOVANNI, Pierre PELEGRI.
PRINCIPAUX INTERPRETES: JEAN GABIN (Vittorio Manalese), ALAIN DELON (Roger Sartet), LINO VENTURA (Inspecteur Le Goff), Irina DEMICK (Jeanne Manalese), Amadeo NAZZARI (Tony Nicosia), Elise CEGANI (Maria Manalese), Karen Blanguernon (Theresa), Yves Lefebvre (Aldo Manalese), Philippe Baronnet (Louis), Marc Porel (Sergio Manalese).

L'HISTOIRE: Dans les couloirs du Palais de Justice, Aldo, faux garde glisse une scie chirurgicale dans la poche de Roger Sartet, capture de choix due à la persévérance d'un homme intègre et tourmenté, le commissaire Le Goff.

Sartet s'évade du fourgon cellulaire qui le reconduit à la prison. C'est là, très minutieusement préparée, l'oeuvre du „Clan des Siciliens”, au sein duquel Sartet reprend sa place. A la tête du clan traditionnel, Vittorio, ses fils, Aldo et Sergio, son petit-fils, le jeune Roberto. Seule française, la femme d'Aldo, Jeanne habillée trop court, provoque inconsciemment Sartet. Pour s'en éloigner, celui-ci fait une fugue et se fait découvrir. Il s'enfuit précipitamment en tuant un inspecteur. De retour au clan, Sartet expose les conditions d'un „coup” à réaliser à Rome.

Vittorio reprend le risque — c'est la dernière fois — et fait appel à un ami de New York, Tony Nicosia, qu'il retrouve à Rome pendant l'exposition de la bijouterie française. Un obstacle imprévu rend l'opération impossible. Les deux amis cherchent donc séparément le moyen de détourner le „Boeing” qui doit emporter les bijoux à New York.

Entre-temps, la moitié du clan s'est installée à Menton où le petit Roberto assiste malencontreusement aux effusions de Sartet et de Jeanne. A New York, Tony trouve la solution et fait prévenir Vittorio. L'affaire s'organise. A Rome, Sartet prend l'avion Rome-Paris-New York en nom et place de l'assuré Evans.

A Orly, le clan s'apprête à monter dans le même avion, lorsque se présente

la femme du vrai Evans. Vittorio, avec sang-froid, parvient à l'éloigner au dernier moment; l'avion décolle sans elle, mais le clan s'y trouve au complet et se prépare à opérer.

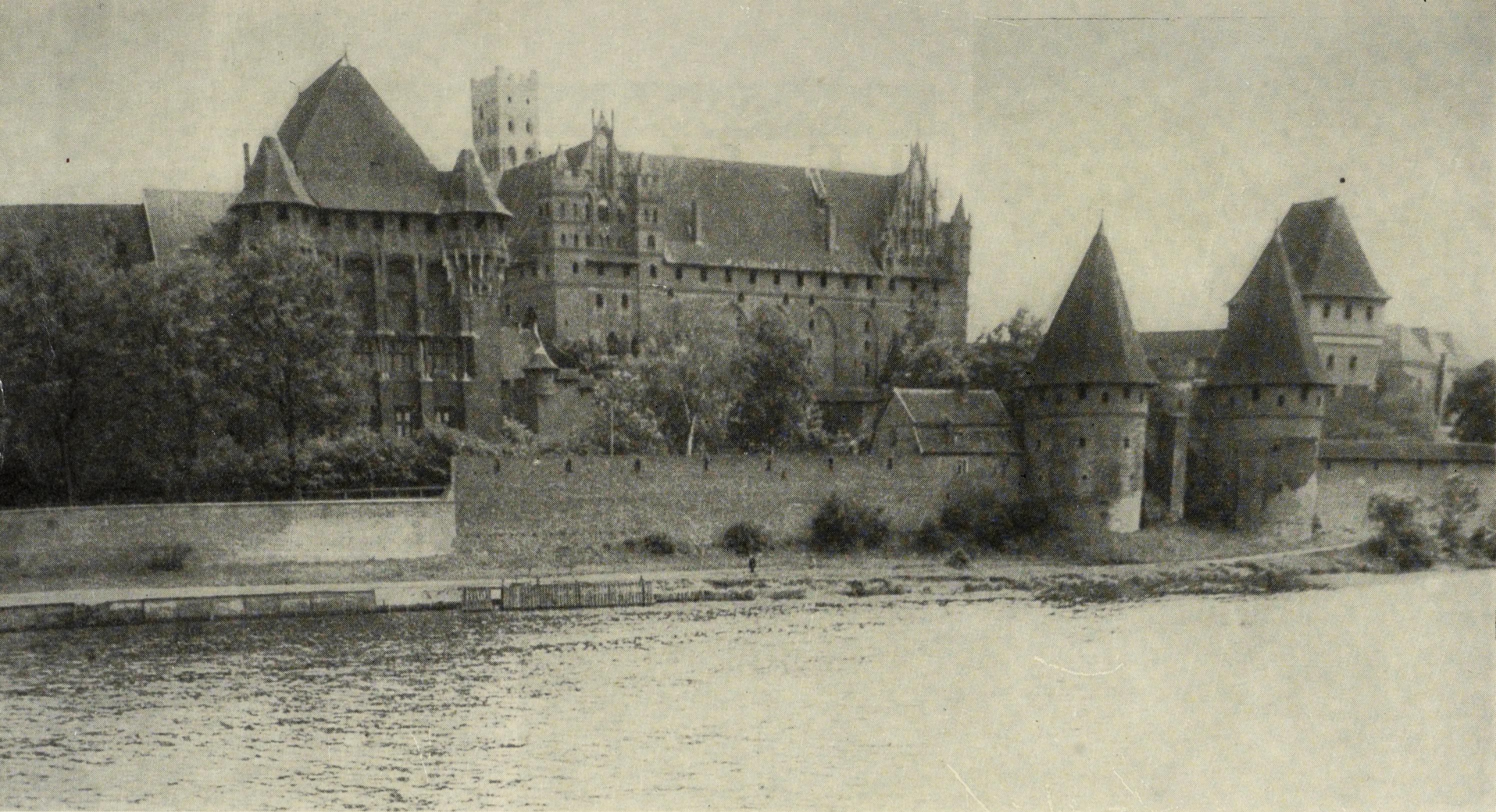
A Paris, Le Goff apprend que Sartet est à bord. Alerte générale. Au-dessus de New York, le clan parvient à détourner le „Boeing” et le fait atterrir sur un tronçon d'autoroute bloqué à cet effet par Tony. Chacun se disperse avec les bijoux. Tony garde la part de Sartet qui doit s'enfuir à Vera Cruz. Le clan rentre en France. Là, le petit Roberto se souvient du flirt de Sartet et Jeanne et parle. Vittorio, dans la tradition sicilienne, veut venger le clan, et par un subterfuge, fait revenir Sartet en France.

Jeanne, affolée, téléphone à Monique, la soeur de Sartet. Le Goff l'apprend. Tout le monde se retrouve à Orly pour attendre Sartet et l'accueillir de différentes façons.

Sartet, qui s'en doutait, avait pris l'avion précédent et regarde la scène: les loups, faute de gibier, s'entredévorent. Le Goff capture Aldo et Sergio. Sartet donne, par téléphone, rendez-vous à Vittorio. Au domicile du clan, Le Goff attend.

Ten typowy kryminalny film wedlug powieści znanego i popularnego Auguste'a LE BRETON, mimo klasycznych chwytów kategorii filmowej, do której przynależy, posiada duże akcenty aktualnych rubryk „faktów dnia”, które czytamy często w codziennej prasie francuskiej.





ZAMEK NAD NOGATEM

A PRZEDE WSZYSTKIM sam widok Malborka mógł przejąć trwogą serce każdego Polaka, albowiem z twierdzą ową, licząc Wysoki Zamek, Średni i Przedzamcze, żadna inna na całym świecie nie mogła się nawet w przybliżeniu porównać. Już z dala, płynąc Nogatem ujrzeni rycerze potężne baszty rysujące się na niebie. Dzień był jasny i przeźroczysty, więc widać je było doskonale, a po jakimś czasie, gdy skutki zbliżyły się, jeszcze bardziej rozbłysły szczyty kościoła na Wysokim Zamku i olbrzymie mury piętrzące się jedne nad drugimi — w części barwy ceglanej, przeważnie jednak pokryte ową słynną szarobiałą zaprawą, którą przyrządzać umieli tylko mularze krzyżacy. Ogrom ich przewyższał wszystko co w życiu widzieli polscy rycerze. Zdać się mogło, że tam gmachy wyrastają na gmachach, tworząc w nizinym z natury miejscu jakby górę, której szczytem był Stary Zamek, a stokami — Średni i rozłożyste Przedzamcze. Biła od tego olbrzymiego gniazda zbrojnych mnichów moc i potęga tak nadzwyczajna, że nawet długa i zwykle postępną twarz mistrza wypogodziła się nieco na ów widok (...).

Jakoż oddzielna fosa i oddzielny zwodzony most dzieliły Średni Zamek od dziedzińca i dopiero w bramie zamkowej, która leżała znacznie wyżej, rycerze obróciwszy się za poradą komtura jeszcze raz mogli objąć oczyma ów olbrzymi kwadrat zwany Przedzamczem. Gmach tam wznosił się przy gmachu, tak iż wydawało się Zyndramowi, iż widzi przed sobą całe miasto. Były tam nieprzebrane zapasy drzewa ułożone w sztychy tak wielkie jak domy, składy kul kamiennych sterzące na kształt piramid, cmentarze, lazarety, magazyny.

Nieco z boku, wedle leżącego w środku stawu, czerwieniły potężne mury „templu”, to jest wielkiego magazynu z jadalnią dla najemników i czeladzi. Pod północnym wałem widać było inne stajnie dla koni rycerskich i dla wyborowych mistrzowskich. Wzdłuż wylówniki wznosiły się koszary dla giermków i wojsk najemnych, a po przeciwległej stronie czworoboku mieszkania dla przeróżnych zwiadowców i urzędników zakonnych — znów składy, śpichrze, piekarnie, szatnie, ludwisarnie, niezmierny arsenał, czyli karawan, więzienia, stara puzkarnia, każdy gmach tak niezłomny i obronny, że w każdym można się było tak jak w osobnej twierdzy bronić, a wszystko otoczone murem i gromadą groźnych baszt, za murem fosa, za fosą wieńcem olbrzymich palisad, za którymi dopiero na zachód toczyły żółte fale Nogat, na północ i wschód błyszczała toń ogromnego stawu, a od południa sterczały silniej jeszcze umocnione zamki: Średni i Wysoki...”

Tak opisywał Malborski zamek Henryk Sienkiewicz. Któż więc mógłby pokusić się o opis wspa-

nialszy i groźniejszy niżli ten z kart „Krzyżaków”. Zmuszeni więc niejako przez mistrza Sienkiewicza ograniczymy się zaledwie do kilku danych historycznych.

Zamek w Malborku, leżący nad deltowym ramieniem Wisły — Nogatem, zaliczany jest do najwspanialszych zabytków gotyckiego budownictwa obronnego w Europie. Jego budowę rozpoczęto w 1274 roku. W sześć lat później gotów był tzw. Zamek Wysoki, wybudowany w kształcie czworoboku z arkadowym dziedzińcem. Wewnątrz znajdowała się kaplica Najświętszej Marii Panny.

W XIV wieku rozpoczęto zrozbudowę zamku. Od 1309 roku bowiem Malbork był już twierdzą nie do zdobycia.

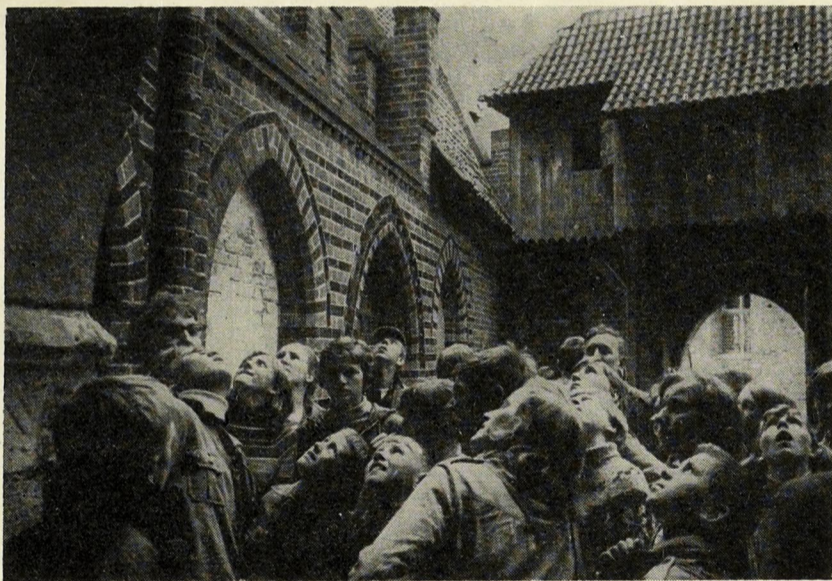
Wtedy to Zbyszko z Bogdańca, Powąła z Taczewa i Zyndram z Maszkowic — bohaterowie Sien-

kiewiczowskich „Krzyżaków” — podziwiali to mnisie gniazdo.

W 1457 roku dowódca Malborka U. Czerwonka odprzedał zamek oblegającym go Polakom. Zaś na mocy Pokoju Toruńskiego (1466 r.) został on znów przyłączony do Polski. Zamek był ważnym punktem strategicznym w czasie wojen szwedzkich.

Po rozbiorach niszczą go Prusacy, umieszczając tu magazyny, koszary i stajnie.

Po drugiej wojnie światowej Malbork ponownie powraca do Macierzy. I znów wracają czasy jego świetności. Konserwatorzy, architekci, historycy — wszyscy starają się, by zamkowi przywrócić dawną krasę. Dziś malborski zamek jest słynnym zabytkiem i wspaniałym muzeum. Każdy turysta przebywający na Pomorzu ma sobie jego zwiedzenie za punkt honoru.



Malbork... „Il semblait que les constructions se juxtaposaient, créant depuis la base comme une montagne, dont le faite était constitué par le vieux château, étayé sur les flancs par le château moyen et les dépendances. De ce grand nid des moines en armes émanait une puissance telle que même le visage allongé du grand maître, d'habitude sévère, se déridait à sa vue”...

Cette citation provient de la description du château de Malbork, appartenant alors aux Chevaliers de l'Ordre teutonique, faite par Henryk Sienkiewicz, prix Nobel.

Aujourd'hui musée, ce château, considéré comme l'une des plus rares constructions du génie militaire gothique en Europe, est visité par de nombreux touristes polonais et étrangers. Si vous le visitez un jour ces quelques données ci-contre vous permettront de vous orienter sur son origine et les diverses vicissitudes qu'il traversa.

Tekst: Piotr ADAMCZEWSKI

Fot.: L. ŁOŻYŃSKI

